

## „Czas wykrzesać iskrę” - piętnasta antologia rozdana poetom



27 lutego br. w Sali Łustrzanej zabytkowego pałacu w Damnicy odbyły się XVI Powiatowe Spotkania z Poezją (Nie) Profesjonalną. Rozpoczęły się recitalem Pauliny Łagi - laureatki nagrody specjalnej ubiegłorocznego, VI Powiatowego Przeglądu Poezji Śpiewanej. Młoda wokalistka przypomniała m.in. nagrodzony wówczas utwór „Burzy się” do słów poety Zbigniewa Sawickiego ze Słupska

Paulina wygrała ubiegłoroczny przegląd poezji śpiewanej w kategorii utworów do słów lokalnych twórców. Uczestnikom spotkań przypomniała ten utwór, a także zaśpiewała „Pejzaż bez ciebie” Grzegorza Turnaua, „Anioły są wśród nas” Beaty Bednarz i... „We are the Champions” zespołu „Queen”. Młoda wokalistka uczy się w V Liceum Ogólnokształcącym im. Zbigniewa Herberta w Słupsku. Uczęszcza też do Szkoły Muzycznej i udziela się w Klubie 7. Brygady Obrony Wybrzeża w Słupsku. Zawsze podkreśla, że śpiewanie sprawia jej wielką frajdę, a śpiewanie poezji cieszy szczególnie...

Po bardzo życzliwie i entuzjastycznie przyjętym występie Pauliny, piszący te słowa w imieniu organizatorów - Starostwa Powiatowego, Centrum Edukacji Regionalnej w Słupsku i Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego im. Marynarza Polskiego w Damnicy, nisko pokłonił się licznie zebranym poetom i sympatykom poezji w Sali Łustrzanej pałacu i serdecznie przywitał gospodarzy XVI Spotkań z Poezją w Damnicy, panów - Rafała Konona - wicestarostę słupskiego i Andrzeja Kordylasa - wójta gminy

Damnica. Serdecznie powitał też wszystkich uczestników Spotkań, w tym szczególnie lokalnych i regionalnych twórców, którzy przyjechali po raz szesnasty do Damnicy po swoją kolejną książkę z ich wierszami, a także by zaprezentować publicznie swoje utwory.

Po tym ciepłym powitaniu głos zabrali - starosta i wójt. Obaj najlepiej jak potrafili pogratulowali twórcom ich aktywności literackiej i wierności słowu pisanemu. Nowy wójt Damnicy A. Kordylas, dotychczasowy dyrektor Zespołu Szkół pochwalił się, że zgromadził na półkach domowej biblioteczki wszystkie antologie wydane przez powiat i z niecierpliwością czeka na lekturę kolejnej, szesnastej!

Po tych wystąpieniach prowadzący Spotkania zakomunikował: - Odkryjmy i pokażmy wreszcie piętnastą powiatową antologię poezji. Odsonił zakryte specjalnym płótnem tomy pachnących jeszcze drukarską farbą książek zatytułowanych „Czas wykrzesać iskrę”. Taki bowiem dostała tytuł najnowsza antologia. Dodał zaraz: - Książka jest zupełnie świeża. Nikt z autorów jeszcze jej nie miał, nie wie, jakie znalazły się w niej wiersze, spośród tych, które zostały przekazane do wykorzystania w publikacji. Nikt nie wie, w jakim zostały ułożone zestawieniu. Dzisiaj jej premiera! Czy czeka nas przyjemny wieczór? Czy będzie to przyjemna lektura? Czy tak samo zadrzą serca twórcom pięknego słowa przy jej odbiorze, jak zadrzały przy odbiorze wcześniejszych czternastu antologii?...



Fot. J. Marzętnik

Prezentację poprowadzono zgodnie z treścią wstępu autorstwa Mirosława Kościeńskiego (członka ZLP) zatytułowanego „Pomóż mi zamknąć czas w zegarze, czyli rocznice, rocznice...”

„Ależ w tym XXI wieku, a konkretnie w 2018 roku zbiegło się rocznic - napisał M. Kościeński. - 16 października minęła 40. rocznica powołania na tron Piotrowy papieża Jana Pawła II. Zaś trzy dni później, tylko w 1987 roku zostaje zamordowany bł. ks. Jerzy Popiełuszko. Natomiast 23 października 1956 roku wybucha rewolucja węgierska. Na Budapeszt najeżdżają rosyjskie czołgi. W gęstej zabudowie stolicy Węgier agresor dostaje łupnia, po dwóch tygodniach wycofuje się. Nie na długo, bo bombardowania i ponowna ofensywa Rosjan odnosi skutek. Inre Nagy, premier Węgier w 1958 roku zostaje stracony, a polscy kibice na meczu piłki nożnej w Zabrzu po tej wiadomości wstają z miejsc i minutą ciszy uświęcają ten moment, pomni wydarzeń w Poznaniu w czerwcu 1956 roku. Jakby było mało, ta sama data, tylko sprzed dziesięciu lat - atak Rosjan na Gruzję. Ówczesny prezydent Polski, śp. Lech Kaczyński ostrzegął, że na tym się nie skończy. Miał rację. Do tych dat można dołożyć także 29 października - dzień urodzin dwóch wybitnych polskich poetów - Adama Ważyka (1903 r.) i Zbigniewa Herberta (1924 r.), wielokrotnie nominowanego do literackiej nagrody Nobla. Ale pozostają dwie najważniejsze rocznice. Stulecie zakończenia I wojny światowej i nasze 100-lecie odzyskania niepodległości. Sporo wierszy zamieszczonych w niniejszej antologii do tych dat nawiązuje.”

W tym miejscu zaprezentowano umieszczone w antologii wiersze: „Na jubileusz” Jana Wiśniewskiego z Koszalina, „Niepodległość” Aldony M. Peplińskiej z Motarzyna, „O ojczyźnie” i „Ojczyzna” Jana Smalewskiego z Bąkowa, „Ojczyzna” Mirosława Kościeńskiego, „Tym co maszerują” i „Myślą

żeśmy stabi” Andrzeja Szczepanika z Bytowa oraz „Rok 2018” Zdzisława Opałki z Częstochowy. Wybrane teksty prezentowali w większości sami autorzy. Tylko w przypadku tekstu Z. Opałki trzeba było skorzystać z zastępstwa, bo autor nie mógł przybyć do Damnicy.

„Generalnie twórcy z małych miejscowości żywo reagują na wszystkie wydarzenia, głównie polityczne, wszak mamy pasmo wyborów. Regina Adamowicz ubolewa, że: „Nienawiść skrzydła rozwija nad światem”, Emilia Jastrąbek-Zimnicka wspomina o polityce w wierszu „Między ludźmi”, pisze też o przyjaźni m.in. z Żydami w Pajęcznie, jej rodzinnym miasteczku w okolicach Częstochowy. Warto przypomnieć, że pani Emilia była córką przedwojennego starosty Pajęcza - pisze we wstępie do antologii dalej M. Kościeński. (...) W niniejszym tomie jest sporo wierszy o dziadkach, babciach, matkach, generalnie o najbliższych i znajomych. Nie powinno nas to dziwić, gdyż w chłopskiej tradycji rodzina zawsze była stawiana na pierwszym miejscu. Poza tym tradycyjny model rodziny trój czy czteropokoleniowej w miastach przestał istnieć. Został się tylko w najmniejszych miejscowościach. Dlaczego tak pamiętamy z dzieciństwa dziadka czy babcię? Bo mieli dla wnuków dużo czasu, byli wyrozumiali, a



poprzez własne bogate doświadczenia potrafili w przystępny sposób przekazać swoje, w dobrym tego słowa znaczeniu, mądrości. Ujmujące są wiersze Ireneusza Borkowskiego, autora dwóch tomików poetyckich. Także dobitne są wiersze o ojcu Beaty Kosickiej."

Po tych przytoczonych informacjach przejmująco wybrzmiały wiersze zaprezentowane przez Emilię Zimnicką z Izbicy („Między ludźmi” i „Uliczki przeszłości”, Piotra Wiktora Grygiela z („Podniebnym krzykiem”). Autor ten z żoną przyjechał do Damnicy aż spod Bydgoszczy i zaprezentował jeszcze swój najnowszy tekst przygotowany specjalnie na damnickie spotkania. Zaprezentowane zostały też jeszcze m.in. ujmujące wiersze Ireneusza Borkowskiego ze Słupska („List do babci” i „List do dziadka”), Małgorzaty Ortman - również ze Słupska („Bronka” i „Marysia”), Grzegorza Chwieduka z Kępicy - przypominające „Grę w klasy” Julio Cortazara („Czasami” i „Ulotność”), Anny Karwowskiej z Dobieszewka („Opuszczona” i „Mały świat”). Pani Anna jest mistrzynią w swoim stylu i temacie. To autorka tomików poetyckich, („Krzywda”, „Kocie tby”, „Nawet ptakom zabrano nuty”), piewczynie zapomnianych popegeerowskich krajobrazów i zestawionych w nich ludzkich losów. Zaprezentowano również wiersze Jana Zygmunta Prusińskiego z Ustki („Margot w błękitach zwiedza Montevideo”) i Mieczysława Krymskiego z Żochowa („Tylko chwilę”, „Moja muzyka”). W tej części większość tekstów czytali także sami obecni w Damnicy autorzy.

Autor wstępu zauważył, że poeci pamiętają także o członkach Grupy, którzy przedwcześnie odeszli z tego świata. Na przykład przejmujący jest wiersz Romany Małeckiej poświęcony Czesławowi Guitowi. „Niezwyczajny przypadek sprawił, że z Czesławem spotkałem się tuż przed jego śmiercią w słupskim szpitalu - napisał M. Kościński. - Był już tak osłabiony, że w trakcie rozmowy po prostu zasnął. Jego syn, obecny przy dyskusji dokończył za Niego rozmowę. Kiedy kilka dni później chciałem go odwiedzić, okazało się, że zmarł (na raka płuc), w słupskim hospicjum.” Wiersz p. Romany Małeckiej z Kwakowa pt. „Marzenia” poświęcony Cz. Guitowi zaprezentowała A. Peplińska.

Na zakończenie prezentacji antologii Emilia Maraśkiewicz - poetka z Darłowa przypomniała wiersz Jadwigi Michalak z Naćmierza „Wiejscy poeci” (autorka była nieobecna), a wymieniany już wielokrotnie autor wstępu M. Kościński tak podsumował całą antologię: „Reasumując - mam nadzieję, że uważny i cierpliwy Czytelnik poświęci kilka wieczorów na wnikliwe przeczytanie niniejszego tomu. I nie będzie to ironiczne stwierdzenie Izabeli Iwańczuk, że to „trele morele raki i torbiele”. Niech będzie to raczej wiersz Jana Kuleszy pt. „Żeby pamiętać”.

Jan Kulesza ze Strzelec Krajeńskich przyjechał do Damnicy i sam przejmująco oraz sugestywnie przeczytał ten przywołany przez autora wstępu wiersz.

- „Żeby pamiętać” - myślę, że to powinno być przesłanie dzisiejszego wieczoru - podsumował prezentację piętnastej antologii prowadzący Spotkania. - Wierzę, że nasi poeci piszą, by pamiętać, nie zapomnieć. Żeby pamiętać dobrze? Nie tylko dobrze. W ich literackich wypowiedziach dominuje bowiem szczerą, rzadko upiększany język. Można pokusić się o stwierdzenie: szczerą do bólu, do też. Osadzony bardzo

blisko życiowej prawdy, ludzkich losów i ich nieszczęść. To nie charakterystyczne, to prawdziwe - więcej w tej poezji różnych nieszczęść niż szczęścia! Bo tak się ludziom w życiu układa...

Ale jest i drugie przesłanie, ważniejsze - z wiersza Andrzeja Szczepanika, że „czas wykrzesać iskrę, niech wybuchnie płomieniem i spali idee co biel róży zmieniły w nienawiść”. Czas ogarnąć się z dookoła dopadającej nas nienawiści, głupoty i zrobić wreszcie coś mądrego. Bo jesteśmy przecież - jak pisze poeta - mądrzy i współcześni i nie powinniśmy ulegać tym, co się kryją „za parkanem sumienia i czekają rozgrzeszeń tworząc dogmaty nieudacznnej władzy. „Wykreślmy z pamięci obraz dartej flagi gdy z trybun gdzie prawda winna płynąć rzeką - pogardę narodom wroży śmiech. Nie wybaczymy, bo płacić będą łzami pokolenia”.

Poeta ma prawo się upominać, ma prawo żądać wykrzesania iskry - dla kraju, dla Niepodległej, dla nas wszystkich. Dla Europy, dla Świata, dla bezpiecznego i szczęśliwego życia ludzkości. „Czas wykrzesać iskrę” - mówi. I taki tytuł daliśmy naszej antologii, żeby pobudziła do głębszej myśli, refleksji...

Po uroczystym wręczeniu przez wicestarostę R. Konna, Andrzeja Kordylasa - wójta gminy Damnica i Ewę Lewkowicz



- radną powiatową każdemu z osobna autorskich egzemplarzy antologii przyszedł czas na końcowe podsumowanie: - Choć, jak napisał Wiesław Myśliwski, kultura chłopska przegrała starcie z napierającą cywilizacją. Musiała je przegrać, bo kulturze biedy i izolacji cywilizacja zaproponowała podniesienie poziomu życia i pracy oraz otwarcie na świat, to wiejscy poeci jednak istnieją i starają się w swoich tekstach ocalać chłopskie korzenie, nawiązywać w nich do dawnych wartości, z sentymentem wspominając swoją młodość, wiejskie pochodzenie i kontakty z dawną wsią. To wszystko bardzo cenne. Za to Was kochamy i cenimy. I niech tak pozostanie.

**Zbigniew Babiarz-Zych, Słupsk**

*Piętnasta antologia „Czas wykrzesać iskrę” została wydana - jak wszystkie poprzednie w nakładzie 450 egzemplarzy. Jak wszystkie poprzednie trafi też do bibliotek w Słupsku i powiecie słupskim, do Biblioteki Narodowej, środowisk kulturotwórczych, pism literackich, młodzieży i dorosłych. Nie będzie sprzedawana tylko rozdawana zainteresowanym poezją.*

# Weronika Gogola - „Po trochu”

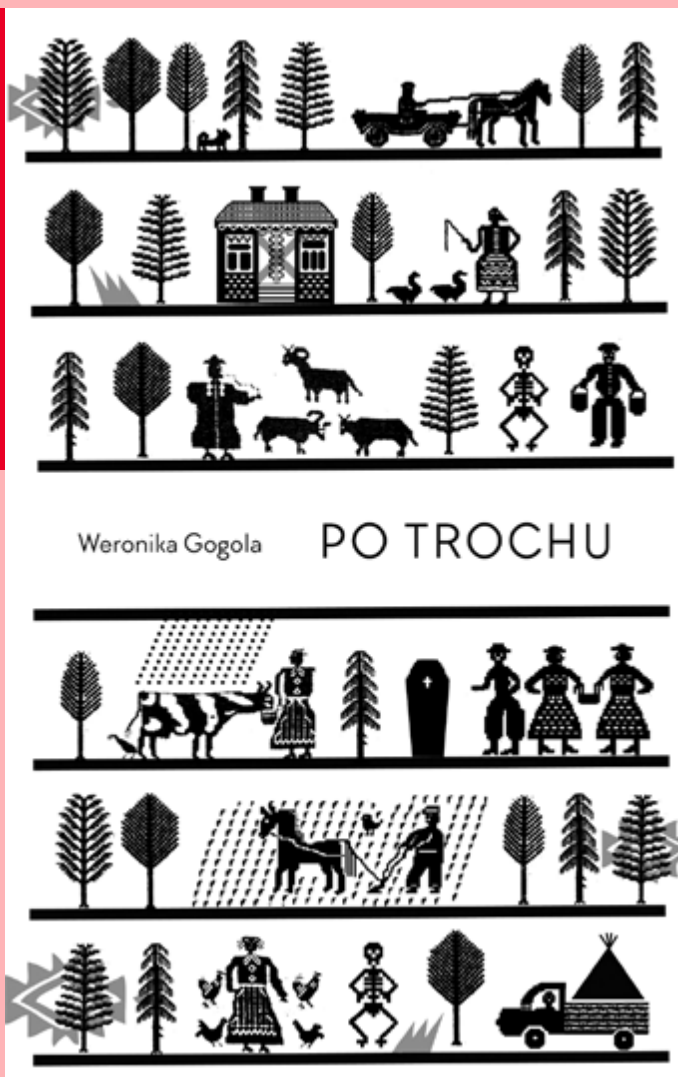


*„Chłopy mają przetarte skórzane kurtki, które tak dziwnie chrzęszczą przy każdym ruchu. Najbardziej w zimie, jak jest mróz. I pachną wódką i tytoniem, no i oborą. Lubię ten zapach. Poza tym w chłopińcu podobąło mi się jeszcze tym bardziej, że prawie każdy z chłopów miał włożony do tylnej kieszeni spodni grzebyk”...*

Wieś Olszyny położona jest w województwie małopolskim, powiecie tarnowskim, w gminie Rzepiennik Strzyżewski. 9 marca 1386 roku król Władysław Jagiełło nadał wojewodzie krakowskiemu - Spytkowi herbu Leliwa z Melsztyna wieś Olszyny oraz kilka wsi sąsiednich. W XVI wieku Ludność Olszyn, podobnie jak i pozostałych wsi tego terenu, była zróżnicowana ekonomicznie. Najbogatszą jej część stanowili kmiecie (źródła mówią o 12 łanach kmiecych), mniej zamożną - zagrodnicy (czterech zagrodników bez roli) oraz najuboższą część - komornicy (dwóch komorników z bydłem i czterech bez bydła).

W okresie zaborów wieś znajdowała się pod panowaniem austriackim. Dwie wojny światowe także zostawiły swój ślad w pamięci mieszkańców. Po 1945 roku rozpoczęły się zmiany - najpierw były duże trudności związane ze zniszczeniami wojennymi, rozdrobnieniem gospodarstw, obowiązkami dostawami dla państwa, a także wyjazdem wielu mieszkańców na Śląsk w poszukiwaniu lepszego życia, lecz począwszy od lat sześćdziesiątych nastąpiła poprawa warunków bytowych. Dzięki solidarności wszystkich mieszkańców w latach 1960 - 1965 dokonano elektryfikacji wioski, położono drogi asfaltowe umożliwiające komunikację z większymi ośrodkami miejskimi, wybudowano dom ludowy, szkołę, remizę. W 1993 roku przeprowadzono gazyfikację, a w 1998 telefonizację wsi.

Gdy zakładano pierwszy telefon we wsi, Weronika Gogola miała 10 lat. Co wtedy robiła? Na przykład, jak opowiada, „zazwyczaj brałyśmy składaki i do Potoka jechałyśmy bez przystanku, w Potoku piłyśmy trochę wody ze źródła, smarowałyśmy się kaczym mydłem, a potem już prowadziłyśmy rowery pod stromą górę, do babci Karci i Agi. Wspinaliśmy się na stare czereśnie i zbierałyśmy je do wielkich kobiałek. Ale tak naprawdę nie szło nam dobrze, bo większość zjadałyśmy. Potem bolały nas brzuchy i nie mogłyśmy spać w nocy”. Albo zajmowała się kozą Plamką, razem z kuzynką: „W nocy Plamka spała w stajni. To była stajnia, w której kiedyś dziadek Staszek trzymał krowy i świnie, ale jak się urodziłyśmy, już ich tam nie było. Bo dziadka Staszka też już nie było. Teraz mieszkała tam koza. Wieczorem trzeba było iść do niej, zanieść wodę w niebieskim garnuszku i obierki albo inne resztki z obiadu. Musiało jej tam być straszno, kiedy tak siedziała sama całą noc. Nam też było straszno tam chodzić. Bałam się, że poklepie mnie po plecach duch dziadka Staszka, tym bardziej że pod okapem stodoły wciąż wisiła jego marynarka”. A może produkowała wino? „W tym ostatnim byłyśmy naprawdę dobre. Wynajdywałyśmy w krzakach najbardziej



Weronika Gogola

PO TROCHU

obite jabłka, takie, po których chodziły mrówki, i naciskałyśmy palcami te brązowe plamy, wyciskając z nich słodką ciecz. Najbardziej lubiłam wyciskać sok do małego plastikowego naparstka. Nie wiem, jakie było jego pierwotne przeznaczenie, ale dla mnie był Wazą na Sok Jabłkowy. Marzyłam o tym, żeby sok zaczął fermentować w słońcu. Mogłybyśmy wtedy napić się wina”.

Weronika Gogola opisała swoje dzieciństwo w Olszynach w książce „Po trochu”. Jest tam właśnie po trochu wszystkiego - o dziadku, o rodzicach, wujkach, ciotkach; o sąsiadach, o zabawach dziecięcych, jedzeniu, sklepie; o poczcie, o powodzi, zwierzętach, pracach polowych, zajęciach gospodarskich. A o jedzeniu na wsi dziecko może powiedzieć najwięcej, bo chłonie je wszystkimi zmysłami: „w kuchni u babci Klimci pachniało podsmażanymi na smalcu ziemniakami. To prawie tak dziwny zapach jak zapach kaszy. Większość domów pachnie albo kaszą, albo smażonymi ziemniakami. Babcia Klimcia przynosiła ser co tydzień. Pachniał jak każdy taki ser: trochę jej domem, a trochę babcią Klimcią”. Taki ser robiło się w pielusze, która musiała jakiś czas powiesić na piecu, aż ścieknie z niej serwatka. U dziadka Staszka na obiady gotowało się ziemniaczaną zupę, makaron z serem, kartofle z kwaśnym mlekiem, albo placki ziemniaczane. Mała Weronika uwielbiała maminy kogel-mogel, zawsze z sześcioro jaj, bo zawsze taki kręciła dla mamy kiedyś babcia. Największym jednak przysmakiem były ziemniaki u sąsiadki; to była

„najpyszniejsza rzecz, jaką nauczyłam się jeść właśnie u niej: bierzysz ugotowanego ziemniaka, koniecznie ostudzonego, z koniecznie brązowego emaliowanego garnka, posypujesz go solą i jesz, żłobiąc zębami przezroczyście korytarze”. U wujka Grześka piekło się w domu chleb, z czarną gorzką skórką, a chleb ten bardzo smakował Weronice z pasztetem, jeszcze ciepłym, który wuj przynosił razem z mięsem, kielbasami i kaszanką, gdy mieli zabijackę. Co do chleba, to ciocia Teresa opowiadała, że gdy prababcia dziewczynki piekła wielkie bochny, a miała świeżo ubite masło, to „żłobiła cały środek bochenka, tak że zostawała tylko skórka, i do tej skorupy ze skórki wkładała świeże masło”. Weronika czuła wtedy żal, bo „zawsze zazdrościłam cioci i Tacie, że prababka dawała im masło w ten sposób: nigdy nie jadłam jej chleba i było mi smutno, że już nigdy nie zjem”. Prababka umarła bowiem przed urodzeniem się Weroniki.

„Po trochu” jest też książką o śmierci. O pogrzebach, tych widzianych, przeżywanych osobiście i tych opowiadanych. Bo śmierć i pogrzeb to jedna z najważniejszych rzeczy na wsi. Gdy ktoś umrze, trzeba ubrać się odświętnie. „Nie z okazji świąt Bożego Narodzenia, nie z okazji imienin, nie z okazji Wielkiej Nocy, nie z okazji chrzcin, ale dlatego, że wujek umarł”. Weronika uczestniczyła w obrzędzie śmierci, więc wiedziała, że kiedy ktoś umiera, trzeba umyć całe ciało, potem ubrać je w najlepsze ubrania, jakie miał zmarły. Dalej, „w domu trzeba też zatrzymać wszystkie zegary i powywracać krzesła do góry nogami, na wypadek, gdyby nieboszczyk chciał wrócić. Bo już nie ma po co wracać. Włosa należy mu przeczesać grzebieniem, nie szczotką, a potem grzebień spalić.” Gdy zmarły wujek Weroniki został już przygotowany, włożono go do trumny, trumnę umieszczono w pokoju obok kuchni, zapalono żółte świece, opleciono różaniec wokół palców. Teraz już można otworzyć drzwi na werandę. Nie zamyka się ich aż do pogrzebu, bo „cała wieś schodzi się, żeby modlić się razem z rodziną. I wspominać. Niektórzy wpadają na jedną zdrowaškę, inni siedzą z rodziną cały dzień, nawet kolację z nimi jedzą”.



Fot. R. Komorowski / wikipedia.org

Po trochu w całej książce jest także o wujku Władku, a to on właśnie bił w dzwony, gdy ktoś umarł. Wujek był dzwonnikiem i zawsze był w pogotowiu, bo biło się gdy ktoś umarł, ale i na pożar, a na co dzień o stałych porach: na „Anioł Pański”, rano i wieczorem, pół godziny przed każdą mszą. Wujek Władek był drobny i lekki, więc jak dzwonił w dzwony, to unosiło go wysoko, wyżej niż zwykle. Gdy umarł, dzwonić zaczęli ministranci, ale „to nie to samo. Oni nie potrafili latać”. A po kilku latach ksiądz kupił pilota, „nastawił program i z głowy. Tylko że dźwięk dzwonów poruszanych przez pilota jest zupełnie inny. Jakiś taki głuchy. Bo jak ręka ludzka wprawia je w ruch, to zostawia tam coś jeszcze. Po sobie coś zostawia”. Wujek Władek pozostawił po sobie nie tylko echa dzwonów, przy których fruwał. Pozostały po nim opowieści, których mała Weronika tak często słuchała. Wujek przychodził, siadał na taborecie w kuchni, opowiadał. O tym, jak to kiedyś było w Olszynch. Albo bajki o Pierozku Purdusiu i Pomidorku. Albo jak jako pierwszy kupił telewizor, nawet na plebanii jeszcze ksiądz nie miał, i wszyscy szli do niego oglądać telewizję. Siedział więc wujek Władek na tym taboreciku i to opowiadał dzieciom różne śmieszne historie, to uczył je wierszyków: „wiosną uczył nas tych o wiosnie, zimą tych o zimie, jesienią tych o jesieni. W lecie nas nie uczył, bo były żniwa”. A kiedy przychodziły żniwa, rodzice Weroniki chodzili pomagać wujkom. Dziewczynka z siostrą także chodziła w pole, bo tata mówił: „Żebyście widziały, jak wygląda praca”. Małe Gogolówny biegały więc z kompotem z porzeczek w termosach i zbierały kłoski. A po żniwach znów słuchały opowieści wujka Władka. Dla małej Weroniki wszystko było ciekawe. W kościele zapamiętała chłopiniec. Dziewczynkom rzadko pozwalano tam zaglądać, więc jak już była, chłonęła wszystko całą wrażliwością dziecka: „Chłopy mają przetarte skórzane kurtki, które tak dziwnie chrzęszczą przy każdym ruchu. Najbardziej w zimie, jak jest mróz. I pachną wódką i tytoniem, no i oborą. Lubię ten zapach. Poza tym w chłopięcu podobało mi się jeszcze tym bardziej, że prawie każdy z chłopów miał włożony do tylnej kieszeni spodni grzebyk. Lubiłam patrzeć na te grzebienie. W ogóle lubiłam patrzeć na chłopów. Jak kłękali na przykład. Nie jak baby, tylko jedną nogę wysuwali daleko do przodu, a drugą daleko do tyłu. Jak trzej królowie. I zawsze opierali ręce o tę nogę z przodu, tak od niechcenia. To i się bardzo podobało. Lubiłam też patrzeć na ich ręce. Całe były popękane na czarno. Tak samo pęka mydło w domach starych ciotek. Też ma ciemne szramy. To się nazywa czysty brud”. Co jeszcze widziała Weronika? Dziadka Lemoniadę z zeszytem zapisanym wiedzą o tajemniczych prawidłach przyrody, Babkę Kamieniarę, nazywaną tak przez całą wieś, Pijanego Ceška, który w autobusie wszystkim opowiadał po swojemu o tym, jak Bóg stworzył kulę ziemską...

Olszyny opisane przez Weronikę Gogolę to wieś lat dziewięćdziesiątych. Gdzieś ktoś słucha Budki Suflera, pije się coca colę, ogląda serial „Klan” albo „W labiryncie”. Właściwie toczy się normalne życie nowoczesnej wsi. Pod tą powłoką końca dwudziestego wieku istnieją jednak też dawne Olszyny. Przetrwały w opowieściach, zachowanych przedmiotach, w historiach rodzinnych. Pamięć dziecka przechowała tę wieś, wieś ojców i dziadków.

Weronika Gogola w Olszynch wzrastała, a urodziła się w Nowym Sączu, w roku 1988. Ukończyła studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, jest tłumaczką ze słowackiego i ukraińskiego. W wieku niespełna trzydziestu lat, w roku 2017 opublikowała „Po trochu”. Książka ta jest jej debiutem, a poświęciła ją Olszynom, jako wyraz wdzięczności za wszystko, co dała jej Ojcowizna.

**Jolanta Betkowska**  
Stłuspa



Fot. Arch. G. Rutowskiej / Narodowe Archiwum Cyfrowe

# Czesław Niemen i jego świat. W 80. rocznicę urodzin



*Czesław Niemen zapytany kiedyś na temat jego talentu, tak odpowiedział: „Ktoś mądry powiedział, że jeden procent talentu plus 99 procent pracy składa się na efekt końcowy. Ja myślę, że to oczywiście jest przesadą. Trzeba mieć jakąś iskrę bożą, ale z pewnością sama iskra nie wystarcza i trzeba zapалу - słowem trzeba rozniecić tę iskrę.”*

Fenomenalny wokalista Czesław Niemen dzisiaj miałby osiemdziesiąt lat i na pewno jeszcze wiele mógłby mieć w życiu osiągnięć, których nie zrealizował przez przedwczesną śmierć. Był największym odkryciem w powojennej muzyce. Artysta przez pół wieku nieustannie poszukiwał własnego stylu, dokonywał ciągłych innowacji muzycznych, chciał znaleźć własną drogę i miejsce w muzyce. Czesław Niemen był artystą awangardowym. Oprócz wielkiej pasji twórczej dbał o doskonałość muzyczną wykonywanych utworów. Jednak szczególną wagę przywiązywał do przekazywanego słowa. Przejdzie do historii jako wokalista, który znakomicie opanowywał treść przekazu i nadawał swojej muzycznej wypowiedzi własną interpretację.

Czesław Juliusz Niemen (właściwie nazwisko Wydrzycki) urodził się 16 lutego 1939 roku w Starych Wasyliszkach koło Grodna, na terenach dzisiejszej Białorusi, zmarł w Warszawie 17 stycznia 2004 roku. Pochodził z rodziny z ogromnymi tradycjami patriotycznymi. Wspominał zawsze czas wczesnej młodości, kiedy przygrywał do mszy na organach w grodzieńskim kościele. Był po wojnie repatriantem przemieszczonym z rodziną do Polski. Na początku lat sześćdziesiątych zadebiutował jako wykonawca modnej w tym okresie muzyki big beatowej. Był wokalistą takich ówczesnych zespołów młodzieżowych jak Niebiesko-Czarni. Śpiewał rockandrollowe piosenki w stylu The Beatles. Pierwsze jego przeboje to dynamiczny utwór „Płonąca stodółka” i ballada „Pod papugami”. W 1963 roku jego kompozycja „Wiem, że nie wrócisz” odniosła duży sukces podczas koncertów w paryskiej Olimpii. Kolejny przebój - „Czy mnie jeszcze pamiętasz” - zrobił duże wrażenie na aktorce Marlenie Dietrich, która zauroczona nim wykonała go w 1964 roku z własnym tekstem. Do 1967 był członkiem Niebiesko-Czarnych, później kierował własnymi zespołami: Akwarele, Niemen-Enigmatic oraz Grupa Niemen.

Piosenka „Dziwny jest ten świat” została przebojem nie tylko na ówczesne, przełomowe czasy (jak choćby w okresie wydarzeń z roku 1968), ale do dzisiaj jest uważana za utwór ponadczasowy. Przebój był latami powtarzany przez stacje radiowe i stał się wizytówką Niemena. Artysta zaprezentował się tym utworem jako ambitny wykonawca i prekursor w muzyce nowej fali. W latach 1969 - 1970 jeździł w trasy promocyjne do Włoch, gdzie miał dużą szansę zrobienia kariery. Występował tu początkowo jako I Niemen. Podczas pobytu w Italii nagrał kilka singli, między innymi powstała włoska wersja utworu „Dziwny jest ten świat” w brzmieniu: „Io senza lei” z nowym, niestety dużo gorszym i mniej znaczącym tekstem o miłości. Tak komentował to wydarzenie w rozmowie z Tomaszem Raczkim: - „To był okropnie banalny tekst o miłości. Zaśpiewałem go ze swoją manierą, czyli wykrzyczałem. Niestety, wtedy we Włoszech to było nie do przyjęcia. Wtedy był bardzo popularny na przykład Gianni Morandi. Ja natomiast śpiewałem krzycząc i w radiu stwierdzono, że jestem troppo dramatico, czyli zbyt dramatyczny, więc mnie nie nadawali.”

W lutym 1969 roku Niemen występował dwa tygodnie w rzymskim klubie Tytan, gdzie dawał dwa koncerty dziennie po około 45 minut każdy. W tym też roku ukazała się jego pierwsza płyta dla wytwórni CGD z nagraniami „Io senza lei” i „Arcobaleno”. Została nagrana z towarzyszeniem orkiestry A. Baldana. Pomiędzy czerwcem a lipcem tego samego roku wziął udział w festiwalu telewizji włoskiej Cantagirol, obejmującym włoskie miasta. Pierwszy okres jego pobytu w Italii trwał sześć miesięcy i siedemnaście dni. Poznał tu, podczas festiwalu Cantagirol, włoską piosenkarkę Concettę Gangi, którą zaprosił na festiwal w Sopocie. Wokalistka została muzą polskiego artysty, ale też zyskała popularność w państwach środkowoeuropejskich.

We wrześniu 1969 roku Cz. Niemen znowu przebywał we Włoszech, w Mediolanie, gdzie nagrał kolejną płytę z nowym zespołem Niemen Enigmatic. Wyszedł drugi włoski singiel „Una luce mai accesa” / „24 ore spese bene con amore”, z towarzyszeniem orkiestry A. Baldana. Koncerty we Włoszech organizował artyście dyrektor festiwalu jazzowego w Bolonii - Foresti. W marcu 1970 roku Niemen nagrał w Bolonii trzeci singel „Domani”, „Oggi forse no”. W tym samym roku miał wystąpić na festiwalu w San Remo. Nagrał nowe utwory: „Firmamento”, „Re di cuori” oraz „La prima cosa bella”. Ten ostatni został umieszczony na płycie festiwalowej, jednak na festiwalu nie pojawił się za sprawą związków zawodowych włoskich muzyków, które pikietowały występy zagranicznych gości. Niemen powrócił do kraju zrażony zachowaniem Włochów.

Biografowie uważają, że Niemen został uznany jako twórca awangardowy dopiero po wydanej czwartej płycie pt. „Enigmatic” w 1970 roku. Przedstawił na niej wiersze poetów polskich w formie progresywnego rocka. Było to nowatorskie, monumentalne dzieło. Na płycie tej znalazł się m.in. śpiewany w formie suitu utwór „Bema pamięci żałobny rapsod”, stworzony do wiersza Cypriana Kamila Norwida. Znaczenie jego nagrania zwiększył udział chóru, który przyczynił się do powstania zadziwiającej, symfonicznej kompozycji o dużym rozmachu i złożoności formy. Czesław Niemen miał ambicje, aby być nie tylko piosenkarzem, ale też kreatorem sztuki muzycznej i wyznaczać jej nowe kierunki. Chciał korzystać ze światowych trendów w muzyce popularnej, ale nie miał zamiaru popadać w ich naśladownictwo. Tworzył własny styl i realizował swoje pomysły muzyczne. Były to najważniejsze cele artysty, którym oddawał się przez całe swoje życie. Był nie tylko piosenkarzem, ale progresywnym rockmanem. Został nawet uznany jako awangardowy jazzman.

Artysta zdobył również popularność na Zachodzie, nagrywając płyty w Nowym Jorku, m.in. z przyszłymi muzykami SBB - Józefem Skrzekiem, Apostolisem Anthimosem i Jerzym Piotrowskim. Są to „Strange is this World” (1972 r.) i „Ode to Venus” (1973 r.). W 1974 roku nagrał z muzykami, też w Nowym Jorku ciekawą płytę „Mourner’s Rhapsody”, która była dużym przedsięwzięciem artystycznym w muzyce progresywnego rocka. Płyty te, mimo prezentowania wysokiego poziomu artystycznego, nie podbiły jednak rynków zachodnich i rozczarowały artystę. Powrócił do kraju i całą swoją pasję twórczą ukierunkował na eksperymenty, głównie z instrumentami elektronicznymi. Osiągnięciem z tego okresu jest płyta „Niemen Aerolit” z 1975 roku, a największym sukcesem awangardowe nagranie „Katharsis” - bez udziału innych muzyków. Album ten uznawany jest w historii muzyki za pierwszą polską płytę z muzyką elektroniczną. Charakterystyczne są organy Niemena. Jako pierwszy polski muzyk używał syntezatora Mooga, dlatego mógł powstać album

„Katharsis” - pozycja obowiązkowa dla znawców i pasjonatów elektronicznej muzyki. Artysta w tym okresie bije wszelkie rekordy popularności. Jest już obecny na polskiej scenie muzycznej ponad trzydzieści lat i podejmuje dalsze prace przy wykorzystaniu tzw. „robotestry”, czyli zestawu maszyn stanowiących elektroniczny zespół akompaniujący. We współpracy m.in. ze Sławomirem Piwowarem, Markiem Rodziejewskim i Zbigniewem Namysłowskim wydaje jeszcze potrójny album pod nazwą „Idee fixe” - w 1978 roku. Jest on podsumowaniem okresu w życiu artysty nazywanego jazzowo - rockowo - elektronicznym. Na tym etapie kończy współpracę z muzykami i rozpoczyna nagrywanie następnych płyt wyłącznie sam. Obok rewelacyjnych kompozycji powstają też trudne dla słuchaczy nowe elektroniczne aranżacje, które spotykają się z coraz mniejszym zrozumieniem i zainteresowaniem publiczności. Co ważniejsze - także recenzentów. Godne odnotowania są jego, już teraz rzadko wydawane „Postscriptum” (1980 r.) „Terra Deflorata” (1989 r.) i „spodchmurykapelusza” (2001 r.). To ostatnie nagranie spotkało się z totalną krytyką i niezrozumieniem odbiorców. Kuriozalnie negatywne recenzje i oceny osłabiły inwencję twórczą artysty.

Natalia Niemen, córka Czesława Niemena w rozmowie z Ryszardą Wojciechowską („Dziwny jest ten świat” Niemena miał swój początek w paryskiej Olimpii”, Głos Pomorza z 16-17.03.2019 r.): „(...) „Terra Deflorata” (1989 r.) i „spodchmurykapelusza”. Razem jeszcze „Postscriptum” stanowią moją trójkę ulubionych albumów, które mówią bardzo wiele o Czesławie Niemenie. I zaledwie garstka dozgonnych fanów ślepo, podążających za nim te albumy przyjęła. Moim zdaniem przekaz, który tata opakował w tych albumach, to kawał fantastycznej roboty. A już „spodchmurykapelusza” to Kaplica Sekstyńska w muzyce. (...) „Dziwny jest ten świat” (uzup. aut.) to rzeczywiście świetna w warstwie tekstowej piosenka. Ale czy to jest protest song? Impulsem dla taty do napisania tego tekstu była bardzo nieprzyjemna sytuacja, której doświadczył w paryskiej Olimpii. Pod koniec lat 60. występował tam z grupą innych, polskich artystów. Pewien konferansjer, który podczas spotkania z ojcem tak bardzo miły, uśmiechał się do niego i prawił mu komplementy, sądząc, że ojciec go nie słyszy, opowiadał komuś innemu za przepierzeniem garderoby wiele złych i nieprawdziwych rzeczy o tacie. Ta konkretna sytuacja stała się zapałnikiem do napisania tej piosenki. Ludzie myślą, że ojcu chodziło o świat, o to, że ludzie tak generalnie się nie kochają. Ale powód był bardzo prozaiczny. Tata jak wielu artystów był bardzo wrażliwym człowiekiem. I nawet kiedy miał świadomość swojego olbrzymiego talentu, przeżywał mocno, kiedy ktoś go zranił, podważając jego artystyczny poziom. „Dziwny jest ten świat” stał się protest songiem, używanym w wielu sytuacjach, na przykład po ataku nożownika na prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza ten utwór wybrzmiewał niemal wszędzie, nie tylko w przestrzeni internetowej. I to było piękne, że był użyty w takim pozytywnym znaczeniu, do łączenia”.

Czesław Niemen pozostał jednak do końca czynnym muzykiem, również w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku. Do końca koncertował, komponował i sporadycznie nagrywał, zajmując się jednak głównie pisaniem muzyki filmowej oraz teatralnej, między innymi do filmu „Wesele” Andrzeja Wajdy. W latach 90. zajął się malarstwem oraz grafiką komputerową. Był vegetarianinem, co też określa pewien jego styl życia. Zmarł na oddziale intensywnej terapii warszawskiego Instytutu Onkologii, po długiej chorobie nowotworowej. Jego śmierć wywołała medialną lawinę oraz rozpacz fanów. Pogrzeb artysty odbył się 28 stycznia 2004 roku na warszawskich Powązkach.

**Włodzimierz Lipczyński, Słupsk**  
[w.lipczynski@interia.eu](mailto:w.lipczynski@interia.eu)



# O „Trenach” Jerzego Fryckowskiego

Dwutytułowa książka Jerzego Fryckowskiego niesie ogromny ładunek emocjonalny. Autor zebrał w niej i miłość, i śmieć. Czy można więcej?

Fot. Archiwum Autora



Czysty i czuły jest poetycki język „Trenów” Jurka Fryckowskiego. Poświęcił je matce i ich wzajemnej więzi. W sumie napisał 54 treny, o czym nadmienić w jednym z wywiadów, ale tylko 18 wybranych wraz z prologiem i epilogiem zamieścić w pierwszym wydaniu „Trenów” z 1999 roku. Dziesięć lat później wznowił je w takim samym układzie, dopisując motto, by w 2018 ponownie wydać, tym razem jednak uzupełnione o 4 niedrukowane wcześniej. W tej książce z ubiegłego roku znalazły się jeszcze „Listy od Matki”, które w kreatywnej wizji są odpowiedzią na treny. Treny i listy pozostają w synergii. Utwory obu części to sylabiczne trzynastozgłoskowce i na dodatek ciekawie związane ze sobą typografią. Tu nie ma tylnej okładki, obie są tytułowe i w układzie odwróconym do siebie, podobnie jak utwory przypisane dwóm tytułom. Z jednej strony treny, z drugiej listy. Taka konfiguracja pozwala myśleć, że książka ma wyłącznie dwa początki lub, że jest... bez końca. A jeśli układ odniesiemy do czarno-białego chińskiego znaku yin i yang - dochodzi jeszcze jedno znaczenie: dwie pozostające w równowadze siły budują pełnię, w tym wypadku więź dwojga ludzi; „Czemu śpiewając ponad kołyską, / nie dośpiewałaś ostatniej strofy, / że śmierć za bajką tuż stoi blisko, / a dół cmentarny kopią kilofy” (Prolog). Piękne? O, tak, jak piękna potrafi być miłość matki i syna.

*Matko, kolejne kwiaty sadzę na mogile.  
Niechaj czerpią garściami barwę z Twej sukienki.  
Może korzenie sięgną różańca i ręki,  
kiedy mój płacz, jak zwykle, przybierze na sile.*

*Gdzie przybite gwoździami lśnią na krzyżach męki,  
w bólu równych szeregach, w słońca jasnym pyłe  
i kłują głuche niebo snu drewniane szpile,  
a na każdej jest Chrystus jak z jednej foremki.*

*Martwe, wyschnięte krzyże to tylko symbole,  
a każdy zamiast z wiarą, ze śmiercią kojarzę,  
ze wskazówką zegara w swym obłądnym kole.*

*Stoją krzyże jak wojsko na pamięci straży,  
więc pytam, czy do Boga należy to pole  
uprawiane nocami rękoma grabarzy?*

(Tren XXV, J. Fryckowski)

Przemierzanie książki rozpoczniemy właśnie od „Trenów”, nad którymi autor pracował długo. Zaczął je pisać ponad 41 lat temu, po śmierci matki. Lecz odważył się je opublikować dopiero po upływie dwudziestu lat. Można spytać, co kazało mu tyle czekać? Czy odpowiedzialność za słowo i powinności wobec literatury? A trzeba nadmienić, że są to sonety, gatunek wymagający od piszącego dyscypliny i kompozycyjnego kunsztu. Historia pokazuje, że format ten używany był przez najznakomitszych, od Kochanowskiego, Mickiewicza, po Petrarę i Szekspira.

*Matko, kopczyku ziemi, wymarła kraino  
utraconych na zawsze dziecięcych całowań,  
oziębła garści piachu, dotykem deszczowa,  
powstrzymaj moje oczy, nim w mogiłę spłyną.*

*Nocna cmentarna cisza bezładnie jałowa  
wyszeptanej modlitwy, pokory przyczyną.  
Zaciskam krzykom usta i duszę się winą,  
przerynam nagim drzewom szumiące półstowa.*

*I kłuje moje uszy milczenie sosnowe,  
potem opada nisko, liże chłodem stopy,  
gdzie pająki u grobu utkały osnowę.*

*Gdy prostokąty mogił kapuśniak pokropi,  
otulę dłońmi znicze spalone w połowie.  
W jednym się jak desperat swierszcz polny utopił.*

(Tren L, J. Fryckowski)

Jerzy Fryckowski to obecnie jeden z najlepszych piszących polskich poetów. Równie dobrze odnajduje się w wierszach wolnych, jak i klasycznych. Nie dziwi więc, że sprostał wyzwaniu. Osobiste przeżycia oprawił w ramy sonetu, nie odpuszczając przynależnym gatunkowi rymom (dwa tetrastychy: abba abba, dwie tercyny: cdc dcd).

Sonety Fryckowskiego są na dodatek trenami. A treny to zadanie specjalne, zawsze przecież pisane są bólem, bólem po stracie ukochanych osób. I w tym przypadku się go czuje. Przeniknął do napomkniętych sytuacji i stanów, wszak zrodziła go wewnętrzna tektonika. A próby okiełznania go - to nic innego jak usiłowanie pogodzenia się z nim, bo tak każe życiowa mądrość; „Matko, usiądź przy łóżku w kącie obok pieca. / Ogrzeję Twoje dłonie czarnej kawy szklanką. / Lampa rzuci jak zwykle nasz cień na ściankę. / Figlarny blask do oczu będzie się zalecał”.

Dla poety naturalnym sposobem na uporanie się z ludzkim bólem jest słowo pisane. A jeśli pisane, to i przeżyte, przechorowane, potem przemyślane i ubrane w formę. Czyli katharsis.



Oczyszczenie wymaga czasu. Wiąże się z dogłębnym procesem, podczas którego dokonujemy przewartościowań. Widać je także w rozpamiętywaniach Fryckowskiego, w których i czas zrobił swoje. Już wygasił pierwszy wewnętrzny bunt i wyrwający się krzyk. Przekaz mógł więc zostać zrównoważony refleksją: „Gdzie możemy pójść razem, gdy schody skończone?”. Upływ czasu i wyciszanie nie przykryły jednak bólu, on w tym konkretnym obrazowaniu ucztowicza nawet wiersz.

Autor przyznał, że wahał się, czy taką rozpaczą może dzielić się z czytelnikiem, dlatego zwlekał z wydaniem trenów. Ból musiał przepracować również literacko, by nie popaść w patos. W efekcie otrzymaliśmy zuniwersalizowany przekaz (zwłaszcza w refleksyjnych tercynach), lecz nie pozbawiony osobistego tonu. Wzruszająca i czysta jest ta mowa, czuła, wszak przemawia do NIEJ, nie do nas. To nic, że boli, to nic, że spod ukojonego bólu przedziera się szorstkość życia. Tylko ludzki wymiar utworu ma sens; „Matko, idę w górę tą utartą drogą / udowodnić sam sobie, że ciągle pamiętam. / Witoмиńskie spotkania to milczące święta, / gdy nawet jednym słowem przemówić nie mogę”.

„Treny” mają swoją historię, ale też niosą historię ludzi i tamtego czasu. Wiele szczegółów z minionego można wyczytać także w „Listach od Matki”. Poczucie klimatu miejsc, a nade wszystko pochylić się nad spójnią ludzi, którzy tworzą rodzinę, jak zrobił to autor; „Syneczku, Ojciec dzisiaj kupił dużą łyżkę / i będzie nią przez lata dzwonił w brzeg talerza” (z Listu XV).

Fryckowski często przywołuje w utworach najbliższych, matkę („Jestem z Dębicy”, kilka utworów z tomu powtórzonych zostało w „Listach od Matki”) i ojca („Chwile siwienia”, „On też jest tylko jeden”). W strofach znajdziemy i inne jego ostoje, np. ojczyznę, przyjaciół, psa czy dom. Z nich wyprowadza własną tożsamość. Wciąż przesiewa to najbliższe poletko pamięci, zapewne z nadzieją lepszego zrozumienia siebie, psychicznych związków i różnorodnych zależności. Co rusz wyciąga inną zdobycz w sepia, którą jednocześnie ożywia i balsamuje; „Synku, bardzo chcę wrócić do pokoju z kuchnią, / chociaż było tak ciasno, że śmiech się nie mieścił. / Twoje zmęczone oczy wspomnieniami puchną. Wzrokiem błądzisz po ścianach, po obrazach z pleśni.” (z Listu XIX).

W założeniu kompozycyjnym książki Listy pisze z za grobu matka do syna; „Myślałeś, że już byłam. Ja dopiero będę”. Tym samym niejako dopełnia się ich obopólna przestrzeń. Przestrzeń wzniecana tym ich wspólnym patrzeniem wstecz i podtrzymywana słanymi sobie myślami, którymi wzajemnie się doglądają. Poruszające są i te utwory. Dwadzieścia ich jest po „matczynej” stronie książki. Zachowują regularny charakter i znów wybijane są w nich rytmy i rymy. Lecz nie są już sonetami; „Synku, ciągle mnie pytasz, czy zmarznięta ziemia / nie nacina mi skóry, czy mogę oddychać, / a przecież wiesz dokładnie, już nie rzucam cienia, / więc mówienie do ciebie to kara lub pycha.” (z Listu XI).

Fryckowski ma niebywałą umiejętność nadawania utworom osobistego wymiaru, pomimo że - organizując materię poetycką - wprowadza wiele uniwersalnych znaczeń. W czytelnicznym odbiorze obrazy stają się niemal dotykalne, a emocje tak bliskie, że prawie własne; „A potem przyszedł grudzień, cukier stał się trendy. / Zamiast piątki ze szkoły przyniosłeś ulotki. Krwawił za naszym domem korytarz komendy. / Wiedziałeś, gryząc cukier, że już nie jest słodki.” (z Listu XV).

Dwutytułowa książka Jerzego Fryckowskiego niesie ogromny ładunek emocjonalny. Autor zebrał w niej i miłość, i śmieć. Czy można więcej? „Szczęście jak kamień w wodę. Po nim tylko koła”. Siła wyrazu poetyckiego każe myśleć o utworach jak o liryce najwyższej próby. A o autorze, jak o poecie wielkiej odwagi.



Fot. J. Maziejuk

Autor uczynił jeszcze jeden drobny zabieg, na który warto zwrócić uwagę. Otóż, „Treny” opatrzył imieniem Jurek (przed nazwiskiem), tak jak na niego wołała matka. Przy Listach jest już Jerzy. Niby nieznaczny gest, a jednak i ten wpisuje się w hołd złożony matce.

**Elżbieta Musiał, Końskie**

Jurek Fryckowski, „Treny” (s. 33), Jerzy Fryckowski „Listy od Matki” (s. 23); wydawca: Buk Wydawnictwo, 2018.

# wiersze najnowsze

Teresa Nowak, Łupawa

## ZASŁONIŁY CHMURY NIEBO

Ciemne chmury zatrzymują się nad kałużami  
Ciężkimi kroplami burzą spokój  
nieruchomej tafli.  
Kałużowe fale kipią, ubłocone miniatury  
nawałnicy.

Z botnisteo dna napęczniałe złości  
Oblepiają buty,

Ciężkie chmury nad kałużami,  
Skostniałe drzewa i zmartwiałą ziemię  
Gorące serca ludzi iskierką się zapaliły,

Współczuciem i miłością  
Świetlistą drogę nadziei  
Światelkiem do nieba otwierały,

Gdy nagle ciężka chmura  
Rozsypała się błotnistą nienawiścią.  
Ktoś komuś życie odebrał  
W świetle jupiterów.  
Krew w źrenice tysięcy kapnęła.  
Z noża te krople.  
Krople krwi na światelko.

Nożem, co chleb miał dzielić  
Nożem...  
Matka znak krzyża nad bochenkiem robiła.  
Kromki smarowała.

Gęste chmury ukryły niebo.

Jan Stanisław Smalewski, Bakowo

## ŁĄKA Z WYOBRAŹNI

Ta łąka rośnie i kwitnie tylko w moim wierszu  
w rzeczywistości nie istnieje nie ma jej  
ani u mojego ojca ani za oknem mojego domu  
Ta łąka jest na tyle realna na ile realnym

był mój ojciec jego też nie ma ani w zagrodzie  
pomiędzy domowymi zwierzętami ani w polu  
na zagonie owsa ani nawet pod starą stodołą  
gdzie razem gwarzyliśmy o udanych zbiorach

Po tej łące mogę zawsze jeszcze biegać boso  
tę łąkę mogę zawsze kosić gdy kwiaty  
stracą zapach  
mogę w wyobraźni szkoda że tak szybko  
wietrzeją  
zapachy i tak szybko mija dzieciństwo

Z ojcem jest zupełnie inaczej bez niego  
wszystkie kąty w domu są puste na podwórzu  
w sadzie i na polu jest sieroco  
jak w moim wierszu

## COŚ Z VAN GOGHA

Przemówiło do mnie drzewo niebieskolistne  
nie miałem innego koloru  
właściwie miałem jeszcze jeden czerwony  
ale nie chciałem ognia płonące drzewo  
to nadmiar wyobraźni łatwo zwęgła i pustosz

Mogłem jeszcze odezwać się w fiolecie  
ale to źle się kojarzy osobiście wolę niebieski  
niebieskie drzewo to jak zielony ptak  
jak różowa trawa i śliskie fałdy stawu  
w skornupie brzegów porośniętych złotymi  
trzcynami

Zaśpiewał dla mnie ptak siwopióry skowronek  
w niebieskim drzewie był tak stary że pamiętał  
pierwszą moją samodzielną skibę ziemi  
pierwszą włokę i pierwsze bóle krzyża

Przemówiło do mnie drzewo niebieskimi liśćmi  
w których niebieskie ptaki uwiły sobie  
niebieskie  
gniazdo i złożyły w nim niebieskie jajeczka  
a potem niebieskim pisklętom przynosiły  
niebieskie okruchy rzeczywistości

Grzegorz Chwieduk, Kępice

## EWA

Nadaje jak lokalna rozgłośnia.  
Mistrzyni zręcznej gadki. Wiecznie  
terkocze. Kiedyś zdychała w samotności.  
Miała bałagan w głowie. Jednak  
przestała babrać się w przeszłości.  
Zamieniła się w twardziela. Stworzona  
do miłości. Wierzy w siebie i w swoją  
kobiecą atrakcyjność. Zaprogramowana  
na sukces. Głowę ma pełną pomysłów.  
Oczy z migotliwymi iskierkami. Ma  
w sobie coś, co myślała, że dawno w niej  
zasnęło. Kocha ludzi, zwierzęta i kwiaty.  
Najwspanialsza mama uśmiechniętych  
jak słońce dzieci. Po prostu szczęściara,  
dumna ze swego życia.

## PIOTR

Oderwał się od dzieci. W domu  
mało klamki nie urwie. Po nocnym  
alkoholowym maratonie znowu

chłepcze wodę wprost z czajnika.  
Już nie mówi, że jest dobrym mężem  
i ojcem, że można na niego liczyć. Ma  
oczy zagłodzonego psa. Nie chce szukać  
czegoś, co nie istnieje. Śpi rekordowo  
długo. Krzyczy, że jest nieszczęśliwy.  
Tkwi w urazie. Widzi siebie w brudnym  
lustrze. Nie potrafi oddalić od siebie  
niepokoju. Porusza się w strefie cienia.  
Czas dłuży mu się niemiłosiernie.  
Utknął w wąskim przejściu między  
przeszłością a teraźniejszością. Nie  
przychodzą mu już do głowy żadne  
imiona. Jego zabawa w przeciąganie  
liny z żoną trwa w nieskończoność.

Andrzej Szczepanik, Bytów

## NIECIERPLIWOŚĆ PRZEDWIOSENNA

Piotrowi Grygielowi z Jasienia

Trafiłem wczoraj nad jasięńskie wody  
żeby wypełnić duszę wną przedwiosenną  
i chwalić się z dumą, że jeszcze młody  
a werwa we mnie ma siłę niezbędną

by wchłonąć trochę łupawskiego słońca  
choć wody jeszcze błyszczą lodowym  
poblaskiem  
spokojne i śpiące aż do głębin końca  
znacząc dno szare złotożółtym piaskiem

nie wiją się jeszcze moczarkowe pnącza  
pod szybą lodu widzę czarne liście  
które wir jakiś leniwie potrąca  
by nagle w szarości zabłysnąć srebrzyście

naraz na przekór rozsądku przestrodze  
chciałem bosą stopą dotknąć liści na dnie  
i poczuć szczęście jak kiedyś na drodze  
czekałem aż gwiazda do nóg moich spadnie

uszcześliwi serce przyspieszając bicie  
by spełnił się sen by wciąż trwało życie

Kobieta zza drzewa ze zdumieniem  
patrzyła na samotnego faceta  
z siwą brodą stojącego po kolana  
w wodzie zamarznętego po części jeziora.

## POWROTY SPÓŹNIONE

Gdybym tam wrócił wiosną zieloną  
nieśmiałą i gibką  
chodziłbym boso po stadach stokrotek  
głaskanych wiatru radosnym podmuchem  
Czekał na bzów kiście rozchowane radośnie  
w skrzypcowej muzyce rozczochranej zieloności  
zmoczonej nagłym deszczem  
Wdychałbym mokość z kałuży mętnej  
obłokami

Gdybym tam dotarł rozświetlonym latem  
utonąłbym w objęciach łąkowych bukietów  
Policzki skleił z żółtością kaczeńców  
Usta wypełnił akacją słodczą i marzył  
jak wtedy z rękami pod głową gdy obtok  
nade mną

coś zawsze przypominał  
Sierpniową nocą pisałbym wiersz o miłości  
niezwykłej

pełnej westchnień  
a księżyc podglądał bezwstydnie przez okno

Gdyby przyjęła mnie jesień wrześnieowa  
pośród szpalerów parkowych  
i liści złotych co wiatrem lecą gonione myślami  
znów miałbym serce radości pełne jak  
wtedy gdy  
mącił stawu nieruchomość szklaną a noc  
świeciła latarnią księżycową  
Nadstawiłbym twarz pod wiatry znajome  
zapachów pełne i dymów co tkwią  
obrazem w ogniskach czerwonych

Chciałbym tam wrócić dniem zimowym  
skrzącym iskrami gwiazd śniegowych  
najbardziej czystych  
Po najbielszej bieli pędzić saniami  
tam gdzie las okryty lodowym szronem  
kończył się niebieskim prześwitem  
rozśpiewanym pieśnią o kimś kto po  
latach stu do swoich stron powrócił.

Tomasz Mroczkowski, Słupsk

## GEDEON

(wiersz dedykowany dla Pana Izraela Katza,  
żeby przemyślał, „kto i kiedy, i co wyszał  
z mlekiem matki”, zanim wypowie sztydery  
i niesprawiedliwe słowa wobec narodu polskiego)

Czerwony jezor ognia wypełzył ze skały.  
Łapczywie pożarł mięso i prząsny chleb.  
Na suchym piachu, co wzbija się do nieba,  
mokre runo ze mnie drwi.  
Moje imię Gedeon.

Wybrał mnie Bóg.  
Z kłamstwa do prawdy wyzwolę Izrael.  
Nie zabiorę tych, którzy chłepczą wodę  
jak pies.  
Pójdą ze mną ci, którzy piją wodę jak  
człowiek.  
Kolcami z pustyni wychłostzę wszystkich,  
którym ofiarowałem wolność, a nie dali  
mi chleba.

Zburzę warowne mury ich miast  
i świątynie obrócę w perzynę.  
Bogów wykonanych z drewnianego  
słupa, co nie potrafią się obronić,  
zetnę i spalę na czarny proch.

Dźwięk rogów mojej armii wypełnił  
łękiem uszy wrogów.  
Paniką owinał się wokół serc Midianu.  
W popłochu i szaleństwie miecz dobyli  
na swoich braci.

Złoto wyrwałem z nozdrzy pogan.  
Dałem ludowi Izraela czterdzieści lat pokoju.  
Wydeptałem dla nich ścieżkę do Boga.  
Krnąbmi zapomnieli jak się nią kroczy.  
Dopuszcili się nierządu z Baalami.  
Zamordowali moich siedemdziesięciu synów.  
Krew moich dzieci świeci na jednym  
kamieniu.

Jan Wiśniewski, Koszalin

## KOCHAĆ

„Kochać, jak to łatwo powiedzieć”...  
tak śpiewał kiedyś Piotr Szczepanik  
I dalej „Bo miłość jest...” Właśnie  
Czym Ona jest... Czym Ona bywa ...

Jak niełatwo zrozumieć  
ile treści zawiera  
ile form ile znaczeń  
w swych przeróżnych odcieniach

A więc skupmy się przez chwil kilka  
by spróbować podać najczęstsze  
(tak spontaniczno-chaotycznie)  
przykłady miłości przejawów

Zaczynamy  
Zatonąć w roześmianych oczach dziewczęcia  
Przytulić z wdzięcznością Żonę trwającą  
tuż obok na dobre szare i na złe  
Pokazywać świat dzieciom ucząc go kochać  
Całować spracowane dłonie Matki  
i ścisnąć słabnącą już dłoń swego Ojca

I dalej  
Zatrzymać tę chwilę wiosenną w której  
twa dłoń zanurza się w wodzie strumienia  
szemrzącego wśród niezapominajek  
lub zastygnać właśnie w momencie w którym  
znużone podniebną wędrówką Słońce  
już pożegnałszy spokojną toń morza  
niespiesznie kryje się za horyzontem

Albo też  
Zanucić majową piosnkę Maryi  
Matce Bożej przed przydrożną kapliczką  
w której schroniła się na skraju lasu  
lub przed krzyżem na dróg rozstajach klękając  
i zatopić się w dookolnej ciszy

Mędrcy mawiają że  
Miłość jest sensem drogą oraz celem  
źródłem cierpienia wiary i nadziei  
Jest więc lub jak wszystko co ważne bywa  
szczęśliwą nijaką lub nieszczęśliwą  
I jeszcze i jeszcze  
A spokoju nie daje mi myśl natrętna  
co jest najsmutniejszym ze wszystkich schorzeń  
Czy nie być już przez nikogo kochanym  
czy też już kochać nie umieć nikogo  
Bo nie kochać nikogo czegośkolwiek  
kiedykolwiek - czy miałoby sens

Irena Peszkin-Bobińska, Koszalin

## NIKT JAK TY

Nikt jak ty - poezji geniuszu  
nie był tak miotany po świecie  
cierpieniem i niepokojem

Nikt tak samotnym pośród ludzi

Tak nie cierpiącym obłądy  
i głupoty

Gdybys przewidział  
jak dalekosiężnie twoje wizje  
spełniać się będą - popadłbys  
w jeszcze większy tragizm  
obłądu

Gdybys pojawił się w naszych czasach  
proroczy Cyprianie -  
inny oglądałbys świat, ale czy innych  
rodaków?

Mimo rozpędu historii  
znów zastygłbys w przykrej zadumie  
i cierpiał rozczarowanie  
gdyż ani tobie współcześni ani dziś  
- słów twoich mądrych  
Nie rozumie ten -  
Któremu winny być przykazaniem

Zenon Marian Lasoń, Słupsk

## PUKANIE DO ŻYCIA

Uwięziony w marzeniach  
tkwisz w nadziei uwolnienia  
W kolorach snów czujesz bicie serca  
i niepokój oczekującej matki.

Głośno pukasz do życia  
i ciężko oddychasz z głębin  
zamkniętego świata.

Kiedy otworzysz oczy  
to ujrzysz światło słońca  
i poczujesz zapach kwiatów

Usłyszysz śpiew ptaków  
I wrzask bawiących się dzieci.

A gdy dorosisz, poznasz  
blaski i cienie ludzkiej egzystencji.

Poznasz góry wygód  
i zdziczałych zbrojeń.  
Zobaczysz uśmiech i radość  
oraz ból i tży rozpacz.

Ujrzysz białe jak anioł obłoki  
i chmury ciemne nasycone grozą  
i ziemię naszą co szłocha  
i woła o pomoc.

# „Opowiadania bizarne” Olgi Tokarczuk



*Czy opowieści Olgi Tokarczuk są dziwne? Kilkanaście lat temu redakcja „Nowej Fantastyki” ogłosiła konkurs na najbardziej przerażające opowiadanie. Tekst, który został nagrodzony pierwszym miejscem moim zdaniem absolutnie straszny nie był. Był prymitywnie groteskowy, a nie przerażający. Natomiast opowiadania Tokarczuk jak najbardziej są przerażające*



Najpierw trzeba wytłumaczyć, co znaczy bizarne. Notka na okładce podaje, że francuskie „bizarre” znaczy dziwne, ale też śmieszne i niezwykle. Opowiadania stawiają więc pytania o poczucie dziwności, o to, czym dziwność jest i gdzie jest. Czy jest cechą świata, czy może nosimy ją w sobie? I gdyby na tym wyjaśnieniu poprzestać, książkę można by polecać jako zbiór współczesnych baśni w typie Andersena. Nie ma co prawda księżniczek, nie ma magicznych stolików, grzebyków, nie ma latających dywanów. Ale są dziwne przypadki bohaterów, którym przytrafiają się niewytłumaczalne zdarzenia. Niewytłumaczalne w sposób racjonalny. Pozornie niewytłumaczalny, no może z wyjątkiem Zielonych Dzieci, bo ta historia zahacza z jednej strony o jakieś XVII-wieczne fantasy, z drugiej nawiązuje do toposu utopii, a z trzeciej wykorzystuje motyw flety z Hameln, który wyprowadza wszystkie dzieci z miasta. Tutaj zamiast grajka mamy Zieloną Dziewczynkę, która swoimi opowieściami o szczęśliwej krainie Zielonych Ludzi mieszkających poza cywilizacją wzbudza fascynację i pewnego dnia znika wraz ze wszystkimi dziećmi z okolicy. Więc baśniowość jak najbardziej, ale bardziej w rodzaju braci Grimm niż Andersena. Baśniowość podszyta grozą, momentami przerażająca.

Bo są to baśnie dla dorosłych. W dodatku baśnie cywilizacyjne, opowiadające na przykład o dziwnych przypadkach człowieka, któremu przeszczepiono serce i pojawia się w nim, w jego umyśle jakieś nowe „chcę”, czyjeś inne, może tej anonimowej osoby, której serce nosi. Podąża za tym „chcę” wyruszając w podróż do Chin, usiłując dotrzeć do źródła. Na granicy technologii przyszłości, a dokładniej genetyki i klonowania człowieka rozgrywa się opowiadanie „Góra Wszystkich Świętych”. Prawie klasyczne science fiction w opowiadaniu ostatnim „Kalendarz ludzkich świąt” wprowadza czytelnika w daleką przyszłość za jakieś trzysta lat. Już dzisiaj przeczytać można o próbach wyhodowania bakterii, które będą się żywiły plastikiem. Nauka musi przyjść z pomocą, jeśli chcemy przetrwać i uratować planetę. Akcja opowiadania rozgrywa się w rzeczywistości, w której udało się skutecznie taką bakterię

wyhodować, ale rozmnożyła się ona tak bardzo, że z całej kuli ziemskiej plastik zniknął i ludzkość wróciła do epoki żelaza. Sedno jednak leży gdzie indziej, w potwornym obyczaju, dzięki któremu ów świat utrzymuje się w ryzach, a życie w określonych ramach kultury. Potrzebna jest do tego istota „z innego świata”, którą ludzkość bezpardonowo (i bestialsko) wykorzystuje do ustalenia i utrzymywania porządku codziennego życia - kalendarza.

Chociaż tego typu pomysły można uznać za fantastykę, nie są wcale aż tak nierealne. W 1996 roku sklonowano owcę Dolly, a dziś prowadzi się eksperymenty genetyczne na ludziach. Klonowanie ludzi jest jak najbardziej w zasięgu ręki współczesnej technologii, a jutro być może stanie się rzeczywistością. Przed pójściem na całość powstrzymują niektórych jeszcze względy etyczne. Pytanie: jak długo? Na razie mamy rozwijający się trend daleko posuniętych modyfikacji ciała. Nie, nie chodzi o zwykłą medycynę estetyczną, ale o poważną ingerencję, dzięki której człowiek upodabnia się do... czasami do zwierzęcia, a czasami do nikogo. Pokrywanie całego ciała tatuażami, wypełnianie silikonem piersi i pośladków, wycinanie żeber to za mało dla poszukiwaczy wrażeń, którzy rozcinają sobie język, żeby przypominał węzowy, implantują na czole rogi i obwarzanki, przektuwiają na wylot nogi i noszą w niej metalowe pręty dla ozdoby, wszczepiają poniżej wargi kófecko, przez które widać ich zęby, nawet gdy mają zamknięte usta, modyfikują uszy, żeby przypominały kocie, psie lub królicze. To tylko niektóre, wcale nie najbardziej ekstremalne pomysły, toteż wcale nie wydaje się niemożliwe, że kiedyś ludzie zechcą całkowicie przeobrazić się w zwierzęta. Robi to bohaterka opowiadania „Transfugium”, w którym funkcjonuje po prostu specjalistyczna klinika do tego celu założona.

Czy opowieści Olgi Tokarczuk są dziwne? Kilkanaście lat temu redakcja „Nowej Fantastyki” ogłosiła konkurs na najbardziej przerażające opowiadanie. Tekst, który został nagrodzony pierwszym miejscem moim zdaniem absolutnie straszny nie był. Był prymitywnie groteskowy, a nie przerażający. Natomiast opowiadania Tokarczuk jak najbardziej są przerażające.

Nie grozą opisów, dialogów, scenerii, lecz poprzez uświadomienie, że cała groza świata jest wynikiem działań i postępowania człowieka. Absurd splotu wydarzeń w „Prawdziwej historii” jak z „Procesu” Kafki wzbudza grozę bezradnością bohatera stopniowo wtrącanego w coraz bardziej niewiarygodną i beznadziejną sytuację, niewidoczne sieci inwigilacji społeczeństwa w „Kalendarzu ludzkich świąt” momentami przypominają obrazy totalitarnego świata z „Roku 1984” Orwella lub „Nowy wsparniały świat” Huxleya, a skojarzenia te bynajmniej nie deprecjonują wartości opowiadań Tokarczuk, pokazują tylko, że wciąż jesteśmy na tym samym etapie, wciąż grożą nam, jako ludzkości, te same wynaturzenia.



Układ opowiadań wydaje się nieprzypadkowy. Zaczyna się „niewinnie” od przypadkowego spotkania, z którego wyłania się tajemnicza historia oparta na parapsychoznym doświadczeniu widzenia siebie w przyszłości. Pierwsza opowieść jeszcze nie jest straszna, wzbudza zaciekawienie, może niedowierzanie. Podobnie następne, wspomniane „Zielone Dzieci” zawierają więcej baśniowej utopijnej tajemniczości niż grozy. Poza tym mamy tu przykład nawiązania do popularnych w XVII wieku opisów podróży do egzotycznych krajów, a że owa egzotyka, z którą spotyka się szkocki lekarz Jego Królewskiej Mości Jana Kazimierza znajduje się na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, dodaje tylko dodatkowego

wali piekło „istocie nie z tego świata”, jest najbardziej przerażające. Człowiek jest straszny. Po prostu.

**Iwona Danuta Startek**  
**Biłgoraj**

Olga Tokarczuk, „Opowiadania bizarne”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018.

## *Łzy same popłynęły mi do oczu...*

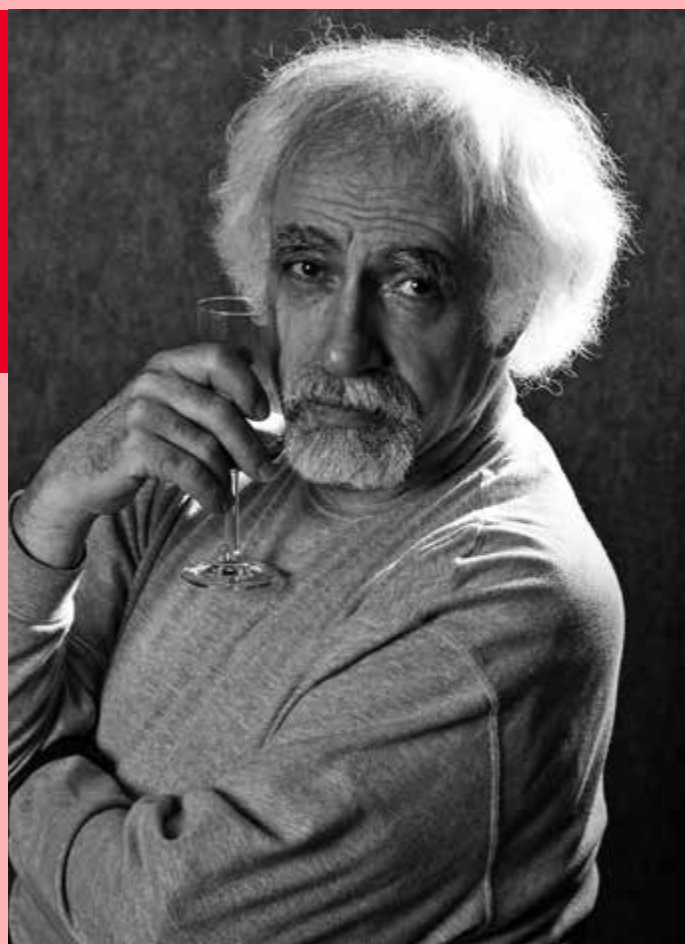


*Chciałam się podzielić swoimi spostrzeżeniami na temat słowa pisanego, jaką może ono odegrać rolę w życiu różnych ludzi. Kilka dni temu zauważyłam wpis w moim komputerze, dotyczący oceny mojego wiersza zamieszczonego w Angorze kilka miesięcy temu*

Oto ten wpis: „Mieczysław O., 12 stycznia 2019 r., 11:37. Kilka miesięcy temu, kiedy byłem w bardzo trudnym okresie mojego życia, w Angorze przeczytałem Pani wiersz „Może otulę się w sen majowy” i... mimo że swoje życie przeżyłem i jestem chyba „twardym facetem” to... łzy same popłynęły mi do oczu. I tak jest zawsze, kiedy czytam ten wiersz. Obiecałem sobie, że jak tylko będę miał dostęp do internetu, podziękuję Pani za te 16 linijek, które zawierają więcej prawdy życiowej niż niejedna kilkustronicowa rozprawa naukowa. Dziękuję raz jeszcze, i jeżeli ma Pani jeszcze jakieś wiersze, to chętnie się z nimi zapoznam. Pozdrawiam serdecznie.”

Było mi miło czytać taki wpis.

Przejdę teraz do innego tematu. W latach osiemdziesiątych trzech polscy muzycy: Gintrowski, Kaczmarski i Lapiński grali na swoich koncertach piosenkę „Modlitwa o wschodzie słońca”, która dodawała otuchy w ciężkich czasach komuny. Tekst do niej napisał poeta Natan Tanenbaum, mieszkający do swojej śmierci w Szwecji. O hymnie „Solidarność” ludzie



Fot. H. Kotowski / wikipedia.org

przypomnieli sobie po tragicznej śmierci prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Pod utworem umieszczali wzruszające komentarze. Pisali, że „Bóg nie wysłuchał modlitwy. Ale nie tracą nadziei, że ich usłyszysz”. Piosenka „Modlitwa o wschodzie słońca” została napisana w szczególnie trudnym dla Tanenbauma okresie. Rozgoryczony, zmuszony do ucieczki z kraju i od najbliższych, prześladowany przez komunistów za swoje żydowskie pochodzenie, autor prosi w niej Boga o to, aby ten ochronił go przed nienawiścią do swych wrogów.

W czasach powszechnego internetowego hejtu i wzajemnej nienawiści, ta piosenka znowu nabiera znaczenia. Skąd mamy brać siły, by nie ulec pokusie zmieszania z błotem atakującego nas hejtera? Co możemy zrobić, by nie stać się równie złym, jak nasz prześladowca? „Dzisiaj ta modlitwa jest najpotrzebniejsza. Szczególnie dzisiaj. Niestety, nie udało się obronić przed nienawiścią śp. Pawła Adamowicza... Smutno mi na myśl, że stało się to w takim miejscu, w takim czasie i na oczach tylu ludzi. To ogromna strata dla rodziny. Cześć Jego pamięci” - napisał jeden z internautów pod piosenką, a inni mu odpowiedzieli: „Minęło tyle lat, a tekst tej pieśni jest tak aktualny. Szczególnie dzisiaj, 14 stycznia 2019 roku, kiedy ta nienawiść zamordowała Pawła Adamowicza.”

Inni pisali pełni rozgoryczenia, że Bóg najwyraźniej nie usłyszał tej modlitwy: „Najwyraźniej modlitwa nie została wysłuchana, bo nikt nie pozbył się tu pogardy i nienawiści do drugiego rodaka”, „Proszę o uważne zapoznanie się z treścią wiersza, wraz z jego zrozumieniem. Tekst jest nadal aktualny, niestety nie ustrześliśmy się od pogardy i nienawiści”.

Jest też wiele krótkich komentarzy, takich jak: „Żegnaj prezydencie”. Wszystkie one pojawiły się pod fragmentem koncertu trzech bardów z 1992 roku. Przemysław Gintrowski, Zbigniew Lapiński i Jacek Kaczmarski wystąpili wtedy na scenie warszawskiej Starej Prochowni. „W 1980 roku, kiedy

Natan Tanenbaum (1940-2016)

## MODLITWA O WSCHODZIE SŁOŃCA

*Każdy Twój wyrok przyjmę twardy.  
Przed mocą Twoją się ukorzę  
Ale chroń mnie, Panie, od pogardy  
Od nienawiści strzeż mnie, Boże...*

*Wszak Tyś jest niezmiernie dobro  
Którego nie wyrażą słowa  
Więc mnie od nienawiści obroń  
I od pogardy mnie zachowaj.*

*Co postanowisz, niech się ziści,  
Niechaj się wola Twoja stanie  
Ale zbaw mnie od nienawiści  
I ocal od pogardy Panie...*

powstawała „Solidarność”, a myśmy pokazali się szerokiej publiczności, nie tylko studenckiej, dostaliśmy przesyłkę ze Szwecji. W tej przesyłce był wiersz „Modlitwa o wschodzie słońca” autorstwa Natana Tenenbauma - poety, satyryka, związanego na początku lat 60. z kabaretem „Hybrydy”, STS-em. Poeta w 1968 roku został zmuszony do wyemigrowania z Polski. Przemek napisał do wiersza muzykę i stała się ona rodzajem naszego credo na czas naszej solidarnościowej walki” - wyjaśniał Jacek Kaczmarski w 1992 roku, podczas koncertu na scenie warszawskiej Starej Prochowni. Wtedy wystąpił z Przemysławem Gintrowskim i Zbigniewem Lapińskim. Kaczmarski zmarł 10 kwietnia 2004 roku, jego koledzy też już nie żyją, ale prędkość ich piosenki wciąż żyje i wciąż jest aktualne.

Jakie były losy autora wyjątkowego wiersza? Natan Tanenbaum zmarł 26 lutego 2016 roku w Sztokholmie. W Szwecji mieszkał od 1969, bo wcześniej został zmuszony przez komunistyczne władze do emigracji. „Przez wiele lat, gdy nie pozwalano mi, choćby na odwiedzin, śniłem sen o Warszawie, prosiłem przyjaciół, by na rynku krakowskim słuchali za mnie hejnatu o północy i pozdrawiali małe dolnośląskie miasteczko mojego dzieciństwa. Czas nie stał w miejscu, wiele się zmieniło, a mnie przybyło wiele lat i... pół tuzina wnucząt. Tu są moi najbliżsi. Tu pozostanę. A zresztą w dzisiejszej dobie adres pocztowy nie jest taki ważny” - mówił poeta w rozmowie z „Przeglądem Australijskim” w kwietniu 2008 roku.

Piosenki Tenenbauma nagrali w 1968 roku Michał i Jacek Tarkowscy, związani z „Salonem Niezależnych”. Sam poeta wydał tom wierszy „Chochoły i róża” w 1992 roku. W 2004 został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, a w 2013 - Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. „Modlitwa o wschodzie słońca” jest jego najbardziej znanym utworem.

*Jadwiga Michalak, Naemierz*

# Worki myśli Grzegorza Chwieduka

## Worek dziesiąty - słońce mruga do nas

*Flątaśliwych ludzi cisza nie cieszy,  
chyba że jest tłem dla ich popisów.*

Zupełna samotność zupełnie zmienia smak zupy. Miejsce już się tak nie ciągną jak guma do żucia, lecz uciekają niczym balony. Podobni do siebie mają siebie dość. Cholerne życie jest zaraźliwe. Pech go podpuszcza. Nadmiar alkoholu daje popalić. Chodzą od ściany do ściany, dlatego wychodzą im wiersze. Umierała wiele razy przy ludziach. Nie jest wesoła myśl głupia i goła. Bezsenna noc mogą się do czegoś przydać. Nie możesz znaleźć dla siebie prawdziwej twarzy. Chce się pokazać, dlatego ciągle z czymś, z kimś i gdzieś wyjeżdża. Uczucie miłości wyrasta czasem na wylewanych łzach. Mruczysz jak kociak, więc teraz nie mam w domu słońca. Moje miejsce na ziemi ciągle ucieka. Do końca życia ciężko się przyzwyczaić. Przejrzałem twoją naturę i naturalnie nic nie wiem. Nie spodziewam się po najbliższych solidnych

wykretów. Zamykając usta pocałunkiem spodziewał się nowego otwarcia. Nieudane wakacje dały mu szkołę i niejedną lekcję. Przejrzałem jego naturę nastawioną na sztuczność. Z prostotą i wdziękiem ten konkursowicz wszystkich wymiatał. Jego erotyczne tęsknoty domagają się internetowego wzmocnienia. Rozłożyste biodra kobiet to luksusowe poduszki. Wachlarz w akcji ma w sobie coś z wahadła. Niespożyta męska moc zamienia się czasem w trzęsącą się galaretkę. Dobijał się do domu, potem do jej ciała i po dobie dał się dobić. Słońce mruga do nas znacząco, zaleca się z jasnych powodów. Żeby inaczej pisać, musiałby się z życia wypisać i na nowo narodzić. Przysięgamy sobie wieczną miłość na krótką chwilę. Wierność nie jest odporna na wredne niespodzianki. Błądził po jej ciele jednym palcem i znalazł kilka kłamstw. Noc źle przespana odkłada się na twarzy. W głębszych rejonach snu tak wiele znaczeń. Zmącona nadzieja, a tu trzeba działać. Udaje mi się zasnąć, ale nie w momentach szczególnych. Smutek za ludzi nie jest zwykłym smutkiem. Ludzie daleko, a ja tego nie odczuwam. Ucieczka w słowa trwa u mnie w

najlepsze. Moja słabość ujawnia się w kontaktach z ludźmi. Gdy miłość kruszy się i zastyga, wtedy łzy mają kolor nieba. Z przyszłością bez marzeń związał się realista i już się nie maże. Niebo bezchmurne, parasol na bezrobociu. Błado wypadłeś, zabrakło słońca czy efektownego końca? W świetle księżycy kolory zaczynają ściemniać. Szeroka aleja nie pasuje do jego wąskich horyzontów. Wiekowym drzewom wiosną skrzydła rosną.

Wieczór kawalerski może zakończyć się śniadaniem. Ruchliwa ulica wygoniła mnie do parku. Moja samotność tłoczących się anonimowych ludzi nie słyszy. Hataśliwych ludzi cisza nie cieszy, chyba że jest tłem dla ich popisów. Ubity piach zapamiętuje nasze stopy. Huk morza kieruje moją uwagę w przestworza. Żałosne zawrodozenie mew ma swoje granice. Bezlistne suche gałęzie potwierdzeniem okrutnej diagnozy. Ryk wiatru przerwał dzisiaj ich kłótnię. Prymitywna dzikość często na topie. Siła morza wyleczyła go z depresji. Z dłońmi w kieszeniach udaje bohatera.

Spaceruje po dzikiej plaży i już tylko z samym sobą się kłóci. Wiatr osusza moje łzy bez prośb. Stał się cud i ucichęły nasze wszystkie dramatyczne dialogi. Zamieszkał wśród ciszy i cieszy się głośno. Mam tylu przyjaciół, że szkoda gadać. Otoczył się skorupą, choć nie jest ślimakiem. Zapach soli nad morzem wyczuwam na odległość. Sosna nie jest wcale radosna, a poprawia mi humor. Różowe niebo zaprasza nas na kolację. Pod gwiazdzistym niebem teatr cieni. Szumem fal pochwalić się może morze. Wśród szeptów wiatru nie czujemy się oceniani. Zakochani, pieszczeni morską bryzą, mają gdzieś zakichaną codzienność. Tydzień na plaży, by się smażyć i mniej ważyć. Biały jak cukier piasek poddaje się uciskom lasek. Spokojna, błękitna woda to wakacyjna nagroda. Zapach potu i kłopotów. Zapach seksu i podtekstów. Łagodne ciepłe słońce przyjazne biedronce i stonce. Miękkie fale latem modne stale. Kocim oddechem budzisz mnie rano ze snu. Nie żał wyrzucać żyłkom, że tępe i ich wyrzucać. Bez sensu berek, gdy ktoś nie ucieka. Cienki krytyk bez cienia wątpliwości i z grubą przesadą. Na brzegu fal miłosny żar czy może

żał? Wdychanie słonej bryzy morskiej słono go kosztowało. Wypatrywał spadających gwiazd i szlag go w końcu trafił. Czysty romantyzm i brudna robota. Miękki piasek wymagał twardych nóg. Kocham to miejsce, bo innego nie mam. Przy każdej pogodzie można się pokłócić. Wiosenna mgła mogła ją schować do baśni. W sierpniowym skwarze udało mu się pewnie piwa nawarzyć. Zimowy sztorm złośliwą normalnością. Chłozzący deszcz to też dar niebios? Morze, plaża, piasek i już wiadomo, co nie w trawie piszczy. Słońce zagląda nam w oczy, a tu skrzywienie twarzy. Swoje najlepsze strony pokazujesz bez przesady. Na naszych tańczących twarzach wczorajsze obietnice. Dotyk wstydu nie pozwolił rozebrać ciebie do końca. Znajoma tak kocha wszystkie zwierzęta, że wywołała wilka z lasu. Skok w bok nad Bałtykiem dał mu po pysku. Wracam do bajek, one są prawdziwe. Na słońcu ludzie czasem podgrzewają temperaturę dyskusji. Ukotysani morzem postanowili zrobić jak najszybciej użytek z kołyski.

Powietrze wibruje od upału, a żonka od wakacyjnych zdrad małżonka. Słońce skutecznie wrywa nas z bloku i usadza na zielonej trawie. Morze może uwieść. Życie stwarza okazje do zabijania czasu. Czarno to widzę - jestem jasnowidzem! W zimnie i w ciemności pozbywał się natrętnych gości. Świat się zatrzymał i mną poruszył. Wszyscy nie są dla nas wszystkim. Z ryczącym sąsiadem na pieńku - mistrz rozróżniania fałszywego dźwięku. Prosi śnieg i zaproszył mi rozkwitające, wiosenne myśli. Rumieni się przed butelką rumu jak piwonia, nawarzył sobie piwa, bo ciągnie go teraz do piwa. Po bombie piwa beczka śmiechu. Wstąpił na jasne piwo jak na złocisty tron. Aforysta pełen słów i wdzięku, z kuflem piwa w rękę. Rozpętała się wojna o architekta pokoju. Tamten krótki, zimowy dzień na długą zapamiętała jego gorąca głowa.

## **Worek jedenasty - twarze podatne na cierpienie**

*Coraz więcej okien domów jest ślepych i głuchych na ludzkie dramaty. Ludzie się śpieszą, bo mają podobno tak dużo do stracenia.*



Fot. J. Maździuk

Warstwa lodu jak człowiek - do czasu twardo się trzyma. W środku przygotowań do świąt generałem w domu jest mama. Ciemność nad ciemnościami pozwoliła mu smacznie i zdrowo zasnąć. Pod okiem zabawnego kolegi okazji szukał, ale jest teraz nieszczęśliwy z powodu mniej zabawnej pod okiem sliwy. Dalekich światła gwiazd do końca nie rozumiem. Nasze twarze podatne na cierpienie. Gdy w kuchni pachnie ciastem, słodki tatuś się uaktywnia. Zalotne sople traktowałem kiedyś jak wielkie darmowe lody, które trzeba było koniecznie liznąć. Blask śniegu kazał przystanąć. Płatki śniegu też pragną wolności. Kiedy po latach wraca do rodzinnej wioski, wtedy się zapomina i swój niezapomniany pierwszy raz z latawicą zaczyna przeklinać. Jestem już starszy od dwóch moich dziadków i jednej babci. Z kobietą bywa czasem jak z galareta: zastyga albo się trzęsie. Krojony chlebek dla leniusek. Wpatrujemy się w przestrzeń, by zrozumieć siebie. Nad naszymi głowami przelatują niepasujące do

świata anioły. Zaczęły się zaczepki, a tu z mojej strony cisza. Niemożliwy z niego człowiek - gdy zobaczy morze, to już tylko może drzeć się i popiskiwać jak mewa.

Niebo to dopiero potrafi się wkurzyć! Już jej więcej nie nabierze, odkąd nabiera wody w usta. Wreszcie schudła po latach, tylko co zrobić z tą pomarszczoną skórą? W czasie słonecznej kąpeli całkiem siebie przed żoną wybielił. Drobne fale przerosły jego oczekiwania. Otwierają się i zamykają wszystkie nasze szanse. Na jego horyzoncie brak horyzontów. Spotyka się z przychylnością synka - pasożyta. Łąka pod lasem zabita przez zdrową konkurencję. Czy to możliwe, żeby wegetarianin podziwiał mięsiste kolory soczystej zieleni? Słońce grzeje na wszystkie strony, a mojej piwnicy to nie rusza. Wszzechobecna cisza po zatkanium uszu. Czasem luksusem jest brak luksusu. Kamienie nie bronią się przed braniem, rzucaniem lub spadaniem. Pod stopami niedoceniane bogactwo obrazów. Idziemy brzegiem morza, bo inaczej się nie przejdzie. Stał na wieży widokowej i podziwiał wszystko, oprócz własnej odwagi. Na bosaka trudniej dać drapaka. Po naszych śladach na piasku nie pozostaną nawet ilości śladowe. Kulturowy przeciwnik to gatunek w niektórych kulturach wyśmiewany. Zapach poranka w słonecznych szklankach na parapacie. Zapada noc, ale nie pod wpływem naszego zmęczenia. Wracamy do domu, by jutro znowu gdzieś gnać. Na wąskich uliczkach nietęgę miny kierowców. Szerokie aleje mają ludzi w garści. Cudowna magia tylko przy Tobie. Pograżony w mroku udawany spokój. Zmierzch nad miastem przykrył brudy. Sieć ulic pułapką dla wstawionego gościa. Jarosław wygaduje różne świństwa, choć jest jaroszem. Jej złotko myślało, że złotem naprawia się zło. Przyciągają mnie do siebie zwykli ludzie. Skręcił kiedyś nocą w boczną uliczkę i ustanowił tam swój rekord w sprincie. Znikoma szansa, by świecąca lampka oświeciła nieoświeconego lamparta. Coraz więcej okien domów jest ślepych i głuchych na ludzkie dramaty. Boi się tego, czego nie widział, na przykład nietoperzy. Nad moją nieszczęśliwą głową gotowy do usług sufit, jest jeszcze awaryjna ściana. Wstyd w ciemnościach rozchodzi się po kosiach. Zaczynij widzieć słońce bez różowych okularów.

W stroju Adama i Ewy odczytywali nocy sens. Przy księżycowej pełni tracił zupełnie głowę dla wymyślonej księżnej. Nosi go wszędzie, bo nie ma prawa jazdy. Na pamiątkę zawiąjam w kołdrę twój zapach. Zimny pokój ochłodził kiedyś gorącą atmosferę. Przez brudne okno dostał kosza. Noc nalewa się dla naszego zdrowia. Gdy się coś kończy, to się z czymś innym łączy. Zagłębia się nad płytkością ludzkich postaw. Nadchodzi zmierzch i wraz z nim kolejny wiersz. Oddechowi wielkich sosen nisko się kłaniam. Koncert melodyjnie cykających świerszczy bez próby generalnej. Marzę o takiej chwili, kiedy będziemy dla siebie najzwyczajniej w świecie mili. Otworzył okno, by najeść się hałasem. Gdy parne powietrze, on marzy o przecenionym swetrze. Śpi mało i płytko - takim jest minimalistą. Rankiem nie budzi go budzik, lecz zapach jej piersi. Kiedyś kwitnący, teraz rozbity, bo są na niego kwity. W porannym słońcu smutek na końcu. Z bezchmurnym niebem w lecie też nie ma żartów. Czyste powietrze jakoś mnie nie nudzi. Nowy rozdział życia bez tycia. Doczekał się dziś oberwania chmury i chmurnego spojrzenia chimerycznej córy. Za oknem łagodny słońca blask, a w środku wojna domowa, piekło i wrzask. Kolory nieba i wody wzajemnie się przenikają. Po pomrukach morza nie mruczysz już do mnie jak kotka. Mgła biała jak mleko, krowy czują się komfortowo. Wielkomięski zgiełk wyprowadził go z równowagi na wioskę. Po jajach uderzają mi do głowy trafne myśli. Pędzących samochodów nie da się już przepędzić. Ludzie się śpieszą, bo mają podobno tak dużo do stracenia. Najpiękniejsze miasto nie zastąpi ci słońca. Zawsze uważałem na zbyt miłe słówka. Odnalazł raj przy skromnej dziewczynie. W myślach witam

się z uczciwym człowiekiem. Małe nadmorskie miasteczko tak dużo dla niego znaczy. Przez większą część roku walczy o zdrowie i spokój. Krystalicznie czyste powietrze do nas już chyba nie przyleci. Położenie słońca rozreklamowane w ogłoszeniach nieruchomości. Każdego wieczoru jesteś moim światłem. Miasteczko z dzieciństwa wzięło sobie do serca. Widzę w parku ludzi znudzonych hałasem. Wymijam ludzi, choć ich nie widzę. Za garażami kwitnie życie towarzyskie. Krople deszczu spotykają się czasem ze łzami. Cicha ulica, a tacy głośni ludzie. Rozmawia z samym sobą i ma pewność dyskrecji. Takie buty na zarośniętych brudem chodnikach! Bywa i tak, że sklepy zapraszają do nadciśnienia. Galerie handlowe ma w nosie, choć pod nosem. W czasie świąt ma święty spokój, bo odrabia spanie. Kolorowe ubrania walczą z szarym. Szczęśliwi ludzie uciekają od sztucznych problemów, bo wolą słońce. Przesuwają się z wdziękiem wszystkie dobre wspomnienia. Ludzie nie patrzą na siebie, bo mają w głowie inne twarze. Czy ty też udajesz, że się nadajesz do kabaretu? Często odwracam wzrok dla komfortu psychicznego. Wyścigi szturów już przestał komentować. Resztki śniegu cierpią szczególnie. Para oddechów chętna do śmiechów i grzechów. Wyszedł z twarzą po potwarzy. Poranek w mieście głośno się do nas zaleca. Bywają takie sny, które nie mieszczą się w głowie. Za każdym razem powstaje ostatni aforyzm.

### **Worek dwunasty - powietrze musi się wstydić**

*Mgła za oknem wpadła na pomysł,  
bym spojrzął na mój świat inaczej.*

Treściwa w gadce, piękna i atrakcyjna teściowa dopiero (nie)szczęście! Szare korytarze przypominają mi kolorową młodość. Nie umiał o nic walczyć, wołał być sobą. Światła





reklam zapaskudziły moje spojrzenie. Gorączka sobotniej nocy zmusiła ich basem do wygibasów, a potem na basen. Ponurakowi nie chce się wysiadywać wśród jajarzy. Przeżyć coś niecodziennego można na obcym, niewygodnym łóżku. Upał taki, że o zimie wreszcie myśli z czułością. Chciał wyzionąć ducha, ale się nad żoną udobruchał. Otworzył wszystkie okna i zamknął nam usta. Nie zdają się na wiele długie ceregiele. To nie powietrze musi się wstydić smogu. Mokry od potu suchy człowiek, suchy też w rozmowie. Przekleństwa warte pracy naukowej. Zmiętoszone prześcieradło, a pod nim naturalnie sztuczne czupiradło. Balanga u sąsiada niektórych podnieca. Nabrał wielkiej mocy przy drobnej pomocy. Głuchym dudnieniem basów załatwił sobie przewisko. Wulgarnie śmiechy dziewczyn też mają swoje korzenie. Jazgot pijackich kłótni wtapia się czasem w normalność. Dom rodziców był moim środkiem świata. Od odlotowej rozrywki do wstydlivej śliwki. Moja żona Dorotka ma myślącego męża. Aforystą zostałem z konieczności i z przypadku. Jestem skazany raz po raz na piękniejsze miasta. Z połową swego życia doszedłem do zgody. Z padającym deszczem mielibyśmy czasem do pogadania. Kroplami deszczu jesień odmierza czas. Nieba nie buduje się niebytem. Drzewom i ptakom dziwić się nie przestają. Gorące słońce może być swatem i bratem. Nie palę, bo dostałem opieprz od serca. Czarne chmury pomalowały miasto na białe. W chmurach też wiatr jak artysta rzeźbi. Zasypane śniegiem pole ma prawo do pierzynki i zimowego snu. Delektuję się słońcem i ciszą, nawet przebiegającą w trawie pełną myszą. Leniwa radiowa dyskusja bez punktów zwrotnych. Jesiennej ulewie warto czasem zaufać. Mgła za oknem wpadła na pomysł, bym spojrział na mój świat inaczej. Dźwigasz ciężary dla lżejszej przyszłości. Strasznie piękna dziewczyna straszyć kosztem chłopców zaczyna. Poruszał sprawy nie do ruszenia. Miękkie wypadające włosy to twardy orzech do zgryzienia. Zniknęła moja wiara w zmianę przypadków. Wiosna

wystartowała na dobre i już się z zimą nie kłóci. Naszym spacerom brakuje tamtej wiejskiej ciszy. Buszując w jesieni, nie utop się w liściach. Dostał w zęby i zjadł. Podziwiamy widoki, zmieniając się w dzieci. Początek września otwarty na prawdziwki, szóstki i jedyńki. Słoneczny żar chyba nie żartuje z tą miłością do ludzi i często przesadza. Warstwie światła potrzebna jest ciemna przestrzeń. Od aluzji do żaluzji, które zamknęły go przed ludźmi, słońcem i światem. Zaspane oczy wiernie oddają naszą ludzką naturę. Wyskoczył z brzydkiego snu na znak protestu. Pachnie żałobą, by się dobrze teraz wszystkim kojarzyć. Absurdalne teksty seriami trafiały go w serce. Dzisiaj wyciągnąłem z ciebie niedzisiejsze kłamstwa. Skąd się wzięły pytania bez odpowiedzi? Za drzwiami może ktoś stać i się z siebie, nie z ciebie, śmiać. Poranny blask lata pozbawił mnie krawata. Świat pogodny i błękitny z podstawami, by się podobać i przygarniać ludzi do siebie. Wymija tłumy ludzi i ma wrażenie pustki. Z dotkliwym ciosem głośna sprawa. Obecny w słowach, nieobecny w czynach, nie ma papierów na sukces. Dziur w mózgu nie porównuj z tymi w serze. By zjednywać ludzi, przestał się wymądrzać i góry zdobywać, a zaczął ich zanudzać. Dom bez kawałów pelen banałów. Tutaj się nie kłóć, lecz dobijają. Tak się unosił honorem, aż uniośł się w zaświaty. Z czystym sumieniem mój nos wybiera czysty zapach. Na ścieżce wojennej dorobił się kasy bez klasy. Wśród konwalii nie spotkałem zapachowych zdrajczyń. Czasami kogoś właściwym miejscem jest brak miejsca. Zima mroźna, biała, nie nudzą się kozaki. Wygląda jak należy, gdy na Ewie kostium leży. Czy drzewa śniegiem pokryte nie czują się przybite? Od góry do dołu sprawdzona i już wiadomo, że on przy niej skona. Na gwiazdzistym niebie dużo do czytania. Wyglądasz jak siedem nieszczęść, nawet jak się kabaretów najesz. Skupiła się na oklaskach i oddawaniu klapsów. Świt wstał i świr znów coś położy na plecy. Błękitne niebo do wyższych usług. Chmura jest górą i to z kulturą. Mama ma zawsze dla mnie czas i słowa leczące. Zafundował sobie przedwcześnie purpurowe z wysiłku dłonie. Późna jesień przybrała dla mnie na wadze. Pokurczone liście nie znajdują się na naszej liście życzeń. Opustoszała alejka parku wypełniona śladami spotkań. Wiatr w lesie gna i gra, nie narzekając na utrudnienia. Gdybym był zbyt bogaty, myślałbym tylko o sobie. Mglisty poranek dał mi poczucie wolności. Stare kasztany na nowo odkrywam. Fałszywa skromność nadaje się do przemilczenia. Pisziesz dobre wiersze, ale jeszcze lepiej się chwalisz. Nauczyła go wszystkiego, oprócz miłości. Nie mam potrzeby bycia ważnym. Z innymi ludźmi takie same problemy. Wyrывая się do przodu, nie potknij się o własny język. W swoim czasie poczuł się nieswojo. Nauczył się oszukiwać samego siebie, dlatego tak ładnie wygląda. Zapomniał, że jest już stary i to mu wyszło na zdrowie. Proszę się odstosunkować od mojego okazałego brzucha. Trzęsące się ręce babci nie dawały mi do końca spokoju. Przywykła do samotności, lecz nie do okropności. Często się śmieję, żeby nie być ośmieszonym. Zabiegał o jej przyjaźń, a chwilowo zyskał tylko goły tyłek. Złe ubrany, lecz ubiera myśli w atrakcyjne frazy. Całkiem normalne dziwadło w oko mi wpadło. Pachniesz ciepłem, bo wiesz, że dość mam gorąca i piekła. Od damskich grzeszków, słonych orzeszków do męskich uśmieszeków. Spojrzaniem zabił lenia. Ślizgał się po niej jak po ślizgawce i wreszcie wpadł w dziurę. Łapczywy do tego stopnia, że łapie nawet gorączkę. Onieśmielony nadaje się do małych kroczków w tył. Szpanerski facet nadaje nawet z rozporka. Ze swoją urodą wyczyniała takie cuda, że w końcu pokonała ją nuda. Krzyk na twojej twarzy pozwolił nam się zbliżyć. Nie jest aż taki głupi, by się wszędzie wymądrzać. Zmarszczki potrafią zatańczyć walca. Pozbyłem się starych monet i już tak nie brzęczę. Twoje usta trzymały mnie kiedyś na smyczy.

Fot. J. Marzęjtek

Grzegorz Chwieduk, Kępice

# Córka dwóch matek

(Fragment przygotowywanej do druku powieści.)



Zawsze od niepamiętnych czasów liczba 13 była uznawana za pechową. Tak się złożyło, że i mną pewna trzynastka zakręciła wyjątkowo mocno. Przyniosła mi pecha na całe moje pozostałe życie? Trudno powiedzieć, ale czasami tak myślę

To wydarzyło się 13 maja 1962 roku. Tego dnia omal nie zwariowałam z nadmiaru szczęścia i obfitości. A tą obfitością było nic innego, jak wiadomość, że weszłam w posiadanie dwóch ojców i dwóch matek.

Zbliżały się moje imieniny Zofii - 15 maja. Korzystając z wolnych dni od nauki, jakie zafundowali nam nauczyciele z uwagi na trwające w klasach maturalnych przygotowania do matury, pojechałam pociągiem ze Słupska do Gdyni. W domu jak zwykle atmosfera rodzinna niczego złego nie zapowiadała. Pech przyczaił się na mnie nieco później, gdy przeglądałam stare widokówki i kartki urodzinowo-imieninowe, którymi zamierzałam zainspirować się do wykonania kilku okolicznościowych rysunków. Zawieruszył się wśród nich list zaadresowany znajomym mi pismem wujka Kazimierza, skierowany do moich rodziców w Słupsku. Ciekawość i wścibstwo piętnastolatki były silniejsze, niż pouczenia dorosłych, że nie otwiera się czyjejs korespondencji.

Koperta była zresztą porozklejana, klej na jej obrzeżach powysychał i mocno pożółkł. Bez zbędnych ceregieli wyjęłam więc list, a raczej dokument spisany odręcznie przez... No właśnie. Nie mogłam uwierzyć ani własnym oczom, ani czytanemu tekstowi, który początkowo wydawał mi się bardzo dziwny, a przez to i... nieprawdziwy. Przeczytałam go raz, potem drugi. Czytałam kilkakrotnie, chcąc najpierw coś z niego zrozumieć, gdyż nie tylko, że dotyczył mnie. On mnie stawiał w dziwnej, zupełnie nowej i całkiem niepojętej dla mnie sytuacji. - To chyba jakiś żart? - pierwsze myśli kierowały się właśnie w tę stronę. - Żart, nie żart? Więc co u licha?

Pierwszy raz w życiu w ogóle spotkałam się z czymś takim: Pismo adopcyjne. Hmm. I to niby dotyczyło mnie? Pismo adopcyjne spisane odręcznie pomiędzy dwoma małżeństwami i podpisane przez świadków i akuszerkę. Rozpięłam bezwiednie sweterek, bo zrobiło mi się gorąco, i z włosów zdjęłam gumkę - frotkę uwalniającą mój koński ogon. Serce mi zaczęło walić tak głośno, że słyszałam go w uszach. Słyszałam też swój własny oddech. Moja odporność psychiczna nastolatki rozsypała się w gruzy. Poczułam dziwne dławienie w krtani, a oczy samorzutnie zwilgotniały. Moje długie kręcone włosy chyba się wyprostowały i zwiększyły ciężar, bo opadając bezwiednie na ramiona, zaczęły zakrywać mi twarz, i oczy.

- Ja się chyba zabiję! To nie może być prawdą?! Że co niby? To ciocia Marysia nie jest ciocią, a mama Janka to nie moja mama? Byłam jedynaczką, a teraz mam... dwie starsze siostry i brata?! I to wszystko stało się w jednej chwili?! Los chyba ze mnie zakpił, a ten pechowy dzień - trzynastego - naprawdę musiał się zdarzyć, odkrywając tak bardzo zaskakującą i tak dziwną dla mnie w tym momencie, nagą prawdę.

Z pisma jasno wynikało, że moimi biologicznymi rodzicami są Maria i Kazimierz Ligoccy, a siostra - starsza o dwadzieścia lat Janka - jest ze swoim mężem Józefem Piwowarskim, rodziną adopcyjną. Mama Janka to nie mama, a ciocia to nie ciocia? - Ja chyba zwariuję! Przypomniałam sobie, że niedawno koleżanki w szkole mówiły, że adoptuje się tylko sieroty i bękart, czyli dzieci bez ojców... Nie mogłam pozbyć się myśli. - A może ja jestem takim dzieckiem, którego nikt nie chciał i ten dokument to następne wielkie kłamstwo?

Dziesiątki pytań i ani jednego sensownego wyjaśnienia. - Pech, czy szczęście? Mam dwie matki! Wbiegając do sąsiedniego pokoju za rozsuwającymi się szklanymi drzwiami, spojrzałam na stary zegar z kurantami. Wujek mówił o nim, że jest z Kurowa i pamięta prababkę Laurę, i pradziadka Laszlo.

Zegar, przedmiot taki jak ja, można przewieźć i dać komu się chce bez zgody. W rękę trzymałam ten nieszczęśliwy dokument, który zadecydował o moim życiu. Rzuciłam się na łóżko, nad którym wisiał przedwojenny aksamitny lanszaft przedstawiający wędrowca. Wlepiłam w obraz zaptakane oczy. - To ja siedzę teraz na tym kamieniu, przede mną wije się droga kręta i wyboista, zamek, rzeka, las... Co wybrać? Odwracam się i walę kilkakrotnie głową o poduszkę. - Wszyscy okłamywali i oszukiwali mnie. Moje siostry, babcia i podwójni rodzice? Czułam się, jak przekazywany sobie przedmiot. W pewnej chwili odezwał się zegar, wybijając godzinę szesnastą. Spojrzałam w lustro na toaletce, zadając sobie nowe pytanie.

- Urodę pewnie mam po tobie, mam? Mówią, że jestem mądra i bardzo odważna, to też zapewne twoja zasługa. Bo cóż może wymagać większej odwagi niż oddanie własnego dziecka starszej o dwadzieścia lat siostrze przyrodniej i szwagrowi? W nadziei i z wiarą, że dziecko będzie miało wspaiały dom i opiekę.

- Eee. A może nie chodziło wcale o mnie, a tylko o spełnienie pragnienia o dziecku bezdzietnego małżeństwa? - Nawet nie wiesz mam, że przez całe moje życie będę o tobie myślała... Wyobrażałam sobie, że jak tylko mnie urodziła, musiała zebrać wszystkie siły i całą odwagę, aby podpisać ten dokument, że się mnie zrzeka na rzecz swojej siostry Janki.

- A może, mam, ktoś cię do tego zmusił? - Wytarłam oczy i zasmarkany nos, aby spokojniej starać się zrozumieć zaistniałą sytuację. - Co czuliście oboje, co Wami kierowało? Wojna skończyła się dwa lata wcześniej, był rok 1947. Mieliście dwie starsze ode mnie córki: Krysie i Jadzię, rodzina się odnalazła, nie było aż tak wielkiej biedy. Co więc kierowało wami? Miłość do siostry, czy miłość do dziecka?

- Jak wielką musiała być Twoja odwaga przed tak wielkim wyborem. Nie wiem, czy będzie cię ktoś z moich znajomych potępiał, skoro nikt z rodziny dotychczas tego nie czynił. Ja nie dam rady i uszanuję twoją decyzję.

Powoli udawało mi się myśleć chłodniej. Ochłonęłam i opanowałam wzruszenie. I chyba zaczęłam pojmować główne przesłanki tej tajemnicy utrzymywanej przede mną. Przecież znam uczucia do mnie i moich... Tak, prawdziwych rodziców i tych przybranych. Kochali mnie po równo. U jednych i drugich czułam się zawsze kochaną. Zatem główną przesłanką adopcji była miłość!

Chyba niestety w pierwszym momencie źle o tym wszystkim pomyślałam. Zaskoczenie było zbyt duże, nie pozwoliło mi na pełny rozsądek. - Obiecuję mam, że się postaram cię zrozumieć. Przecież mam dopiero w marcu skończone piętnaście lat. A może aż piętnaście. To jednak dużo, zbyt długo na takie przetrzymanie mnie w niewiedzy. Niestuszenie. Niesprawiedliwie...

Skoro ona jednak przestała być dla mnie tajemnicą, jak teraz zmierzyć się z wyjawieniem, że ją odkryłam? Kiedy? Zraz, czy jeszcze czekać, na stosowny moment, na jakieś rozsądniejsze rozwiązanie? Aż czas sam kiedyś da mi tę odpowiedź. - A jeśli zostałam zmuszona do tej decyzji? Podziwiam

cię za odwagę, za miłość do dziecka, które nosiłaś pod sercem dziewięć miesięcy z myślą o tym, że nosisz go dla kogoś innego, dla swojej siostry, nosisz po to, by ją uszczęśliwić.

Przecież wiedziałam już, że moja rzekoma mama nie mogła wcześniej zająć w ciąży, pojawiałam się w jej życiu tak późno i... No właśnie, i tak długo z... wujkiem czekali na mnie. Jednak trudno było mi opanować płacz. Zmuszona zostałam przecież was dwie matki oceniać, nie mając w tym zakresie żadnego doświadczenia. Byłam przecież jeszcze dzieckiem.

W kuchni myślą, że rysuję. A ja... Szukałam inspiracji, no to znalazłam, ale... przecież nie o taką inspirację mi chodziło.

Nadal nie mogłam skupić myśli na czymkolwiek innym. Skupiłam na cici. To znaczy na drugiej mojej mamie. Ona przyjęła też wielkie wezwanie na owe czasy, wykazując się dużą odwagą, podejmując trud opiekowania się mną, karmieniem i wstawaniem po nocach. Byłam przecież od urodzenia bardzo chorowitym dzieckiem. Zawsze mi to mówiła, opatulając szalikiem, gdy wychodziłam na zewnątrz.

Raz jeszcze wytarłam oczy i zajrzałam w lustro, poprawiłam włosy. Zegar akurat wybił godzinę dwudziestą. Musiałam wrócić do kuchni. Odmówiłam kolacji wymówką, że boli mnie żołądek. Ciocia... Marysia przyjrzała mi się uważniej. - No, nie wyglądasz najlepiej. - Podeszła do kuchennych naczyń i zaparzyła miętę, strasząc przy tym, że jak mi nie minie, to znaczy nie przejdzie do rana, będzie musiała naparzyć piołunu.

- Brr... Tylko nie to świństwo. Przez noc muszę się pozbiierać z moimi rozczochranymi myślami. Zresztą nie tylko myśli

zachorowały. Wewnątrz wszystko mnie okrutnie bolało, a najbardziej dusza. - Mamo Janko, co mam zrobić? Znałam cię od zawsze, od urodzenia, byłaś mi tak bliska sercu. Zrobiłaś wszystko, aby ukończyć cierpienie młodszej siostry. Kiedy poznałam prawdę, uzmysłowiłam sobie, jak walczyłyście o moje kruche zdrowie. Robiłyście wszystko, abym miała szczęśliwe dzieciństwo, ładne sukienki, zabawki. - Hmm... chyba jestem szczęśliwa - pomyślałam. Dobrze się rozwijam, jestem piątkową uczennicą i staję się coraz lepszą sobą. Obie matki są ze mnie zadowolone.

Tak, czułam, że kocham je obie, ale mój żal był większy od doznawanej miłości. Wiedziałam to, ale nie rozumiałam tej okrutnej prawdy, którą poznałam tego dnia. Tego feralnego dnia - trzynastego maja.

W salonie domu w Gdyni, jak tylko pamiętam stał stary, rzeźbiony motywami roślinnymi zegar. Był on dobrym duchem nie tylko tego domu, ale i moich pradziadków - Laury i Laszla. Jego rodowód ciągnął się od Kurowa, od roku 1880. Zegar odliczał minuty i godziny życia kilku pokoleń mojej rodziny. Podobno zatrzymywał się zawsze w godzinie śmierci któregoś z jej członków lub zaczynał bić bez powodu, kiedy w rodzinie coś bardzo ważnego się wydarzyło. Zegar miał przeszklone drzwiczki ozdobione roślinnym akantem. Zamykane one były na małe kluczyki. Wewnątrz znajdowała się skrytka, jak sama nazwa wskazuje, na bardzo ważne dokumenty, zdjęcia i inne sekrety.

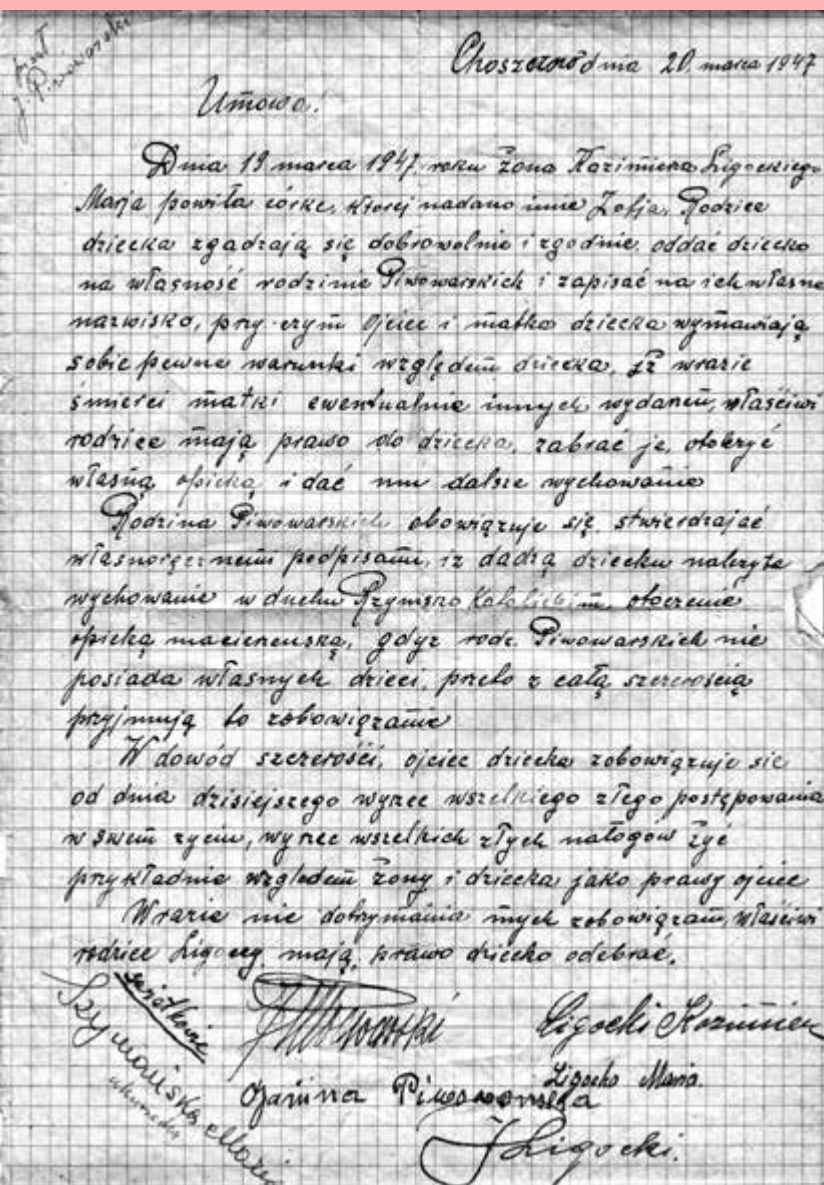
Zegar ten wędrował z rodziną przez całą zawieruchę wojenną. Kiedy byłam już dorosła, zobaczyłam go w Szczecinie w mieszkaniu Macieja Możejewskiego. On pierwszy zmarł z całego rodzeństwa Możejewskich. Zmarł w Ameryce. W dniu jego śmierci zegar zatrzymał się i już nie dał się uruchomić. Pękła główna sprężyna. W takim stanie żona Macieja oddała go do Desy.

Wracając do tamtejszego majowego popołudnia, schowałam otwarty list do skrytki w zegarze, powierzając mu odkrytą przez siebie tajemnicę. I wtedy.. kuranty zaczęły bić, jak na zawołanie. Wystraszył mnie tym mocno, ale już po chwili wróciło jego miarowe tykanie: tik tak, tik tak... Wyglądało to tak, jakby zaczął odnowa odliczać dla mnie czas. Miarowe tykanie po chwili złagodziło mój szok, jakiego wcześniej doznałam. Moje kuzynki w jednej chwili stały się siostrami, a kuzyn - młodszym bratem. Siostry były starsze i już pełnoletnie. Czy one wiedziały, kim jestem dla nich, czy też to było utrzymywane w tajemnicy?

Nigdy nie odczułam, że jest coś na rzeczy, choć bardzo byłam podobna do najstarszej siostry Krysi. Mylił nas czasami ksiądz Szulta, kapelan i proboszcz Parafii Witomina, przychodząc na kolędę, lub gdy był proszony na inną uroczystość rodzinną. Moim znakiem rozpoznawczym był pieprzyk na lewym policzku, a u Krysi, na środku czoła. Myślę, że proboszcz wiedział o wszystkim. Był spowiednikiem rodziców i przyjacielem domu od czasów wojny. Tajemnica i zakaz w całej rodzinie mówienia prawdy był wtedy dla mnie niezrozumiały. Nie byłam sierotą, ani podrzutkiem. Czego więc się obawiano?

Nie czekając do 15 maja, porannym pociągiem wyjechałam nazajutrz do domu w Słupsku. Nie byłam gotowa z kimkolwiek rozmawiać i poruszać ten drażliwy temat. Co robić i jak postąpić? Sama sobie zadawałam pytania i szukałam odpowiedzi także przez cały czas tej podróży. Byłam uczennicą pierwszej klasy technikum, świadectwo zapowiadało się z wyróżnieniem, a nawet z nagrodą. Mimo to mój poukładany świat nastolatki nagle rozsypał się w przystoiowy drobny mak.

Kiedy wróciłam do domu, oznajmiłam, że chyba złapałam grype, bo źle się czuję. Uciekając w chorobę, pragnęłam przede wszystkim izolacji od tego zakłamania, jakie na mnie spadło, jakie dotknęło mnie. Przeleżałam w swoim pokoju tydzień, nabijając ciepłą herbatą termometr do 38



C. Nie odpowiadałam na pytania rodziców, nie wychodziłam z domu. Nawet posiłek był dla mnie złem koniecznym. Bolało mnie wszystko, a najbardziej dusza. Zawiodłam się na najbliższych. Już lepiej, abym była podrzutkiem, lub sierotą. - Czy naprawdę ktoś mnie kocha i jestem na tym świecie potrzebna? - musiałam tego wszystkiego się dowiedzieć. W końcu zdobyłam się na odwagę. Postanowiłam nie kluczyć. Zaczęłam od rozmowy z mamą Janką, zadając jedno proste pytanie? - Czy to prawda, że jestem adoptowana przez was, a moimi prawdziwymi rodzicami są ciocia i wujek? Mama najpierw, jakby zaskoczona pytaniem, spojrzała na mnie swoimi ciemnymi, wyraźnie powiększającymi się w tym momencie oczami, po czym gwałtownym ruchem rąk przytuliła mnie mocno do siebie i wybuchnęła płaczem.

- Prawda córeńko. Prawda jest taka, że jesteś dla nas najwspanialszym darem niebios, a o to, co się stało, nie możesz winić ani mojej siostry Marysi, ani jej męża. Miałam ci to powiedzieć, jak będziesz starsza. Za długo czekałam i... to był błąd.

Moja przybrana matka z trudem opanowywała wzruszenie, robiąc dłuższe przerwy w wypowiedziach. Nie zwalniała jednak przytulenia, jakby w obawie, żeby mnie nie utracić. - Decyzja, jaką podjęliśmy, była najlepsza dla ciebie dziecko, bo oni nie mieli pieniędzy, aby cię leczyć i wychowywać - mówiła.

Wyrwałam się z jej objęć i rozplakałam spazmatycznie. I zaczęłam krzyczeć: - Mammo! O tym wiedziała cała rodzina w Gdyni, Gdańsku, Szczecinie! Widziałam podpisy świadków na dokumencie! Nawet położna! Ukrywaliście to przede mną tak długo, jakbym była jakimś przedmiotem. To było wstrętne!

Pogubiłam się, nie wiedziałam, co jeszcze wykrzyczeć. - Wierzyłam wam w każde słowo... - znów pozwoliłam wtulić się w jej ramiona. Łkałam coraz głośniejsze. - Co miało być dla mnie lepsze? Odpowiedz! - Ale nie odpowiedziała. Ból, jaki sobie nawzajem zadałyśmy, nie pozwalał już ani jej, ani mnie, na jakąkolwiek dyskusję. Sama odtąd, z dnia na dzień oswajałam się z nową sytuacją. Nikt ze mną już nie rozmawiał. I nie wiem, czy znalazłby się w tych czasach ktoś, kto udźwignąłby ten temat. Skoro już dowiedziałam się, kto jest kim dla mnie, musiałam jednak wyjaśnić jeszcze to najważniejsze. Jak mam się zwracać do

cioci i wujka, kiedy są mamą i tatą? Kochałam też bardzo obojga przybranych rodziców i byłam tego pewna. Jak mam zamienić ich w tych rolach w bezpośrednim zwracaniu się do nich?

Miesiąc później odebrałam świadectwo z nagrodą i rozpoczęły się wakacje. Postanowiłam sama pojechać do Gdyni i sprawę wyjaśnić do końca. Rozmowa z biologicznymi rodzicami była dla mnie bardzo trudna, a atmosfera napięta, wręcz o mało nie tragiczna. Po oznajmieniu im, że znalazłam pismo adopcyjne i wiem już o wszystkim, mama Maria bardzo się rozplakała i nie mogła odpowiedzieć na żadne moje pytanie. W pewnym momencie zrobiła się bardzo blada i złapała się za serce. Interweniowało pogotowie i na szczęście po podaniu leków, wszystko się unormowało. Wtedy podeszłam do niej i pierwszy raz powiedziałam: Kocham cię, mammo!

Tego dnia już więcej nie rozmawialiśmy na ten temat. Na drugi dzień ojciec Kazimierz zawołał mnie do swojego pokoju i poprosił, bym usiadła na kanapie. - Gdzie Zosiu masz ten list? - zapytał. - Tam, gdzie chowacie ważne dokumenty, w skrytce zegara - odpowiedziałam. Ojciec otworzył skrytkę, wyjął dokument z koperty i zaczął głośno i wolno czytać, tak abym go rozumiała. Tłumaczył każdy fragment, po czym wyjaśnił ze spokojem, że zrobili to z mamą po długim namyśle i rozmowach, dla dobra małżeństwa jej starszej siostry Janki i szwagra Józefa, którym bardzo ciążyła bezdzietność. Podpisując ten dokument, złożyli ślubowanie, że nigdy się nie rozstaną, a Józef od tej pory nie będzie pił alkoholu i zaopiekuje się rodziną. Po latach ojciec wie, że tej przysięgi dotrzymał.

Dla nastolatki wszystko stało się jasne. Byłam lekarstwem na zło czające się w tej rodzinie. - Czy wujku mogę mówić do ciebie od dzisiaj tato? - zapytałam. Tatuś uściśnął mnie mocno i pocałunkami pokrył moją głowę.

Inaczej nie mogłam wtedy chyba postąpić. Historia, aczkolwiek z dramatycznym nieco przebiegiem, na szczęście dla wszystkich skończyła się happy endem. Mając odtąd podwójnych rodziców w jednej rodzinie, poczułam się wyróżniona przez los, który jednocześnie zdjął przysłowiowe fatum z liczby trzynastcie.

Zofia Smalewska, Bąkowo



„WSI TWORZĄCEJ”

## Joanna Żak - Kobylnica

*Od kilku lat przyjeżdża na Biesiady Poetyckie do Kobylnicy i zawsze zgłasza się do Turnieju Jednego Wiersza, by przeczytać jeden ze swoich wierszy, a to skierowany do jej córeczki Adrianki, a to ostrzegający o zagrożeniach współczesnego, świata. Ma dużą potrzebę dzielenia się słowem, ale też jej osobiste życie i sytuacja w jakiej się znalazła, zmuszają ją do tego. (z)*

### MOJA KOCHANA CÓRECZKO

*Jak co dnia skreślam do ciebie  
słowa dwa, jak się miewasz Kotku,  
czy jesteś szczęśliwa?*

*Tak się mnie dziś rymuje,  
bo wciąż do ciebie miłość czuję.  
Wiem kochanie, że jest trudno,  
kiedy nam czasami smutno.*

*Mama pisze opowieści  
bardzo krótkiej, ważnej treści,  
powiedz mały mój Kwiatuszk,  
co cię boli w tym serduszk,*

*tylko nie kłam i mów śmiało,  
żeby ciebie nie bolało.*

### CÓRCIU

*Znowu słonko świeci na niebie,  
piszę kolejny list do ciebie,  
chcę zapytać, co córciu słyhać,  
o czym chętnie byś gadała  
gdybyś do mnie przyjechała?  
Proszę, listy od mamy chowaj,  
chętnie kieruję do ciebie te słowa,  
gdybym cię nie miała  
to na pewno bym płakała,  
a że ciebie urodziłam,*

*szczęśliwa w życiu byłam,  
byłaś mała, byłaś szczęśliwa,  
dzisiaj twoją buzię smutek zakrywa.  
Ja kiedyś także byłam radosna,  
cieszyła mnie każda zima, wiosna,  
niebawem znowu do ciebie napiszę.  
Teraz czekam na twe słowa  
o smutku i radości, co w sercu chowasz,  
czy ci dzionek się nie dłuży,  
czy pogoda cię nie nuży,  
jakie jest ulubione twoje danie  
na kolację, na śniadanie?  
Tak się zastanawiam, mała,  
jak wakacje swe spędzałaś?*